

Rok VII.
Kraków, dnia 25 maja 1913 r.
Nr. 21.

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz jednoszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 3 do 6. Telefon nr. 2346.

Uroczystość Bożego Ciała.

Twoja cześć, chwała, nasz wieczny Panie,
Na wieczne czasy niech nie ustanie.
Tobie dziś dajem z wojskiem tych ludzi
Pokłon i pienie, my Twoi słudzy...

W uroczystości Bożego Ciała, która jest najwspanialszą ze wszystkich całego roku kościelnego, obchodzimy pamiątkę ustanowienia Najświętszego Sakramentu i Mszy świętej. Wprawdzie w Wielki Czwartek ustanowił Pan Jezus tę tajemnicę, ale że w ten dzień Kościół święty zajęty był rozważaniem męki Jezusa, przeto na obchód tak radosnej tajemnicy ustanowił uroczystość Bożego Ciała, a wybrał do tego najprzyjemniejszą porę roku, kiedy wiosna w całej pełni, kiedy cała ziemia pokryta kobiercem różnorodnych kwiatów i roślin, jakby ubrana na przyjęcie Boga-Człowieka w Najświętszym Sakramencie utajonego. Nietylko bowiem święcimy w Boże Ciało pamiątkę ustanowienia Najświętszego Sakramentu, ale publicznie w najuroczystszy sposób cześć, na jaką tylko zdobyć się możemy, oddajemy Mu. Obnosimy w najwspanialszej procesyi Pana Jezusa po ulicach miast i wsi i wiarę naszą w Niego wyznajemy wobec różnych niedowiarków, wobec nieba i ziemi. Wierzymy i wobec całego świata wyznawamy, że Jezus Zbawiciel nasz, jest utajony w Najświętszym Sakramencie, jako żywy i prawdziwy Bóg, jako żywy i prawdziwy człowiek.

Do szczególnych obrzędów uroczystości Bożego Ciała należy we Mszy świętej benedykcya czyli błogosławieństwo Najświętszym Sakramentem przed Ewangelią, a po Epistole. Kapłan znosi z tronu Najświętszy Sakrament, po zwykłem okadzeniu bierze Go do rąk i śpiewa dalszy ciąg czytanych poprzednio przez się, a przez chór śpiewanych słów: *Ecce panis Angelorum,* co znaczy: »Oto chleb aniołów stał się pokarmem podróżnych, prawdziwy chleb niech psom nie będzie rzucony« i t. d. Po zaintonowaniu ostatniej zwrotki hymnu udziela kapłan błogosławieństwa wiernym, zebranym w kościele, monstrancyę z Najświętszym Sakramentem stawia na tronie i śpiewa Ewangelię, jak zwykle.

Drugim szczególnym obrzędem tej uroczystości jest procesya do ołtarzów, które stroimy po ulicach wsi lub miast. Przy każdym z tych czterech ołtarzów śpiewa się początek Ewangelii czterech Ewangelistów, to jest świętego Mateusza, świętego Łukasza, świętego Marka i świętego Jana na oznaczenie, że wszystkie narody powołuje Chrystus do wiary, i że wszyscy Ewangieliści zgadzają się z tem, że w Najświętszym Sakramencie dał nam Pan Jezus prawdziwe Ciało i Krew Swoją na pokarm ku żywotowi wiecznemu.

Gdy procesya wraca od ostatniego ołtarza do kościoła, śpiewa się po łacinie responsoryum *Melchisidech;* podczas tego śpiewu kapłan udziela błogosławieństwa Najświętszym Sakramentem. Procesya, jak zwykle, kończy się hymnem *Te Deum laudamus.*

Praojcowie nasi, jak wogóle wszystkie uroczystości kościelne tak i tę odbywali z nadzwyczajną okazałością; pozostawili oni nam w spuściźnie kilka pięknych pieśni, w których jakby w katechizmie zawarta nauka o Najświętszym Sakramencie. Tryska z nich wiara żywa, namaszczenie, prostota, prawdziwa pobożność.

Uroczystość Bożego Ciała ustanowioną była w drugiej połowie XIII wieku przez papieża Urbana IV. (r. 1264), a to wskutek objawienia zakonnicy bł. Johanny z Mont Cornillon. Uroczystą procesyę do ołtarzy odprawiać nakazał papież Jan XXI w roku 1316.

Procesye te przechowały się do dziś dnia i swoją wzniosłością wywierają wpływ nietylko na wiernych ale i na niedowiarków i ludzi innych wyznań.

Rok Burzy.

(Opowiadanie porucznika z r. 1863).

29. W OGRODZIE WROGA.

Spotkanie w altance. — Udręczenia Józefiny. — Krzyk i strzał. — Zamiar Burczymuchy. — Rozmowa z kapitanem. — Powrót do domu. — Ciężkie myśli.

Jednym skokiem znalazłem się w tym tajemniczym i pełnym grozy ogrodzie. Ciemno tu było tak, że najbliższych przedmiotów rozróżnić nie mogłem; wielkie drzewa, szumiąc posępnie, przyczem sypał się z nich grad liści jesiennych, zaciemniały i tę odrobinę światła, jakiem niebo zachmurzone darzyło ziemię. Szliśmy ścieżką dość wąską, a piasek, którym była wysypana, trzeszczał pod nogami. Nagle Adolfina, prowadząca mię dotąd na pół nieprzytomnego i jedynie zajętego myślą ujrzenia ukochanej kobiety, zatrzymała się i szepnęła:

— Widzi pan tę bielejącą w głębi figurę?

— Widzę.

— Tam czeka na pana pani Rotkirchowa. Sam pan już trafi. Ja przesunę się boczną aleją, podlezę pod dom i będę tam pilnowała. A pan Ignacy gdzie ma się umieścić?

— On powinien najlepiej wiedzieć... ale niech pilnie strzeże furtki!

To rzekłszy, wyrwałem się nieomal siłą z rąk powstrzymującej mię dziewczyny i cicho pobiegłem ku figurze, która z daleka bielała na tle ciemności. Starałem się jednak jak najusilniej zachować cichość i ukrywać się w mocnym cieniu, rzucanym przez krzaki i drzewa. Nakoniec zbliżyłem się do figury. Wznosiła się ona na niewielkim okrągłym placyku, na samym środku, wśród kląbów zapewne na wiosnę kwiatami obsadzonych. Z jednego boku placyku sterczała maleńka altanka i z tej altanki zdawało mi się, że wysuwa się jakiś cień, w chwili, gdym się zbliżył i bacznie dokoła oglądać się zacząłem.

— Czy to ty, Józefino? — spytałem szeptem.

W odpowiedzi na to, cień z szelestem jedwabiu, tak dobrze mi znanym, posunął się naprzód i dwoje ciepłych, miłych, słodkich rąk objęło mą szyję i usta gorąco całować mię zaczęły po twarzy.

— To ja, twoja, twoja, do śmierci! — szeptała Józefina.

Potem pociągnęła mię do altanki, wiecznie zielonym bluszczem okrytej i tu na ławce kamiennej usiedliśmy, i gdy minęły pierwsze wynurzenia, poczęliśmy mówić o naszem wspólnem położeniu.

— Jego niema — mówiła Józefina — wyjechał, bo mu doniesiono, że gdzieś tam natrafiono na ślad zabójcy Jana Beja. Zabrał ze sobą prawie wszystkich szpiegów i jesteśmy bezpieczni. Chciałam koniecznie zobaczyć się z tobą, bo najprzód jest to gorącą potrzebą mego serca, a potem mam ci bardzo wiele ważnych rzeczy powiedzieć.

I poczęła mi mówić o tem, że Rotkirch o wszystkiem się dowiedział, że wie kto ja jestem, że mię szukają po całem mieście, mając mój rysopis, że ją dręczy okropnie i że ona nie wie, co z tego będzie, jaki koniec tego ze wszech miar strasznego położenia.

— Uciekajmy! — mówiła — zabierz mnie z sobą, wywieź gdzie na koniec świata, wydobądź z tego piekła.

Niestety! Czyż ja to mogłem uczynić? Czy dla kobiety, kochanej niewątpliwie gorąco, mogłem rzucić wszystko, uciec z szeregu walczących, porzucić mych towarzyszy, sprawę Polski, której poświęciłem życie?

Starałem się to wytłómaczyć Józefinie, ale ona zalewając się łzami, coraz namiętniej tuląc się do mnie, zdawała się nie rozumieć mego położenia i z uporem kobiety zaślepionej miłością, uważającej uczucie to za kwiat życia, domagała się, bym z nią uciekł z Warszawy.

— Zrobię wszystko dla ciebie — mówiła — suchy chleb jeść będę, w namiocie spać, strawę ci gotować, tylko mnie zabierz, nie opuszczaj, nie zostawiaj tutaj! Ty nie wiesz, co się święci. On ma doniesienie, że gotuje się zamach na wielkorządcę Berga i że dla dokonania tego zamachu ty wraz z dwoma innymi przybyłeś do Warszawy. Znajdą cię, pod ziemią was odszukają, najsurowsze rozkazy zostały wydane... O! mój najdroższy, mój jedyny, uciekajmy! uciekajmy!

Od niejakiego czasu, zajęci rozmową, nie zwróciliśmy na to uwagi, że wiatr wzmógł się nadzwyczajnie i z głuchym szumem miotał drzewami ogrodu, strącał z nich całe masy liści, wył jak potępieniec między gąszczem parku. Nagle wśród tego szumu i szelestu liści rozległ się przenikliwy krzyk kobiecy, a zaraz potem dał się słyszeć głuchy stłumiony wyciem wiatru, huk strzału.

Józefina zerwała się na równe nogi i popychając mię gwałtownie ku wyjściu z altany, szepnęła:

— Wielki Boże! uciekaj! uciekaj!

I nim zdołałem się opamiętać, rzuciła się w bok między gęste krzaki i znikła w ciemnościach. Zostałem sam i przez chwilę starałem się zoryentować w położeniu. Ukryłem się pod wielkiem drzewem i pilnie rozglądałem się dokoła. Przywykły do nagłych i niespodziewanych napadów, odzyskałem całą moją przytomność i zimną krew. W ogrodzie zapanowała dawna cisza, tylko wicher wył i szumiał, a zresztą żaden inny głos nie mącił tego potężnego koncertu natury. Uspokoiło mię to zupełnie i przypuszczać zacząłem, że tak krzyk ostrzegawczy Adolfiny, jak i strzał, pochodzący niewątpliwie z rewolweru Burczymuchy, był zapewne wynikiem jakiegoś złudzenia, jakiegoś fałszywego alarmu. Dziwiło mię tylko, że Adolfina, która wiedziała, gdzie ja się znajduję, nie zjawiała się wcale, ale wytłómaczyłem sobie to tem, że spostrzegłszy, iż mię niepotrzebnie zaalarmowała, pozostała na swem stanowisku.

W każdym razie nie było czego tu czekać i puściłem się ścieżką ku furtce ogrodowej. Szedłem pod drzewami, zakryty ich cieniem, zachowując wszelkie ostrożności i już byłem dość blisko wyjścia, gdy nagle usłyszałem po stronie lewej, za gęstą zasłoną krzewów, głuche szamotanie i basowy pomruk Burczymuchy:

— Czekaj, psi psynu, zaraz się z tobą, mopanku, załatwię tak samo jak z tamtym.

Nie wahając się ani chwili, przedarłem się przez krzaki i znalazłem się na dość pustem miejscu i przy słabym blasku nocnym dostrzegłem olbrzymią postać klęczącego Burczymuchy, który kolanem gniótł leżącego na ziemi człowieka.

— Co to jest? — spytałem.

— A! to pan, panie poruczniku.

— Ja! Ale co tu robisz? Co to za człowiek tu leży?

— To nie człowiek, mopanku, ale dzikie bydlę. To ten łotr kapitan żandarmów. Strzelił do mnie, ale ja go tu zaraz zduszę. Silna szelma, ale i ja mam krzepę.

Oddychał ciężko i nie przestawał gnieść szamoczącego się pod nim Rotkircha.

— Co chcesz z nim zrobić? — spytałem.

— Uduszę szelmę, tylko go obezwładnię.

— Czekaj! — zawołałem i nachyliwszy się nad leżącym, spytałem:

— Czy pan jesteś kapitanem Rotkirchem?

— Po co się pan pytasz? — odrzekł ciężko oddychając — jeżeli mię chcecie zamordować, mordujcie odrazu buntownicy, łotry, łajdaki ostatnie!

— Burczymucha! rozkazuję ci puścić tego człowieka.

— Co, mopanku, panie poruczniku, puścić go?

— Tak, masz go natychmiast puścić!

— Ha! skoro pan porucznik każe, ale...

— Słyszałeś mój rozkaz? — zawołałem groźnie.

— Ha! Wedle rozkazania pana porucznika... puszczam, ale, mopanku, wielka szkoda!... Takiego hycla...

Wstał ciężko, odsunął się parę kroków i nie rzekł już ani słowa, tylko oddychał głęboko i głośno i mruczał coś pod nosem niechętnie.

Kapitan Rotkirch w jednej chwili był na nogach, wyprostował się, zbliżył się do mnie i spytał głosem stłumionym, dyszącym wściekłością hamowaną i wzruszeniem:

— Czy porucznik Walery?

— Tak.

— Hm! Pan wiesz, że oprócz porachunków publicznych, mam z panem porachunek prywatnej natury?

— Nie bardzo rozumiem, o co panu idzie. Jaki rachunek prywatnej natury?

— Nie udawaj pan... To nie chwila do kłamania. Nienawidzę pana i będę cię ścigał, aż zaprowadzę na szubienicę. Czy pan wiesz o tem?

— Wiem.

— I pan mię puszczasz teraz?

— Tak, puszczam pana. Możesz iść, gdzie ci się podoba.

Stał chwilę w milczeniu, poczem zawrócił wolno, wydostał się na ścieżkę i znikł w ciemności, nie rzekłszy ani słowa.

Wyszedłem z ogrodu z uczuciem mocnego przygnębienia, miotany szeregiem najróżnorodniejszych wątpliwości. Czy dobrze zrobiłem, puszczając wolno tego człowieka, tego najzajadlejszego wroga mego i ruchu? I dlaczego go puściłem? Dlatego, że temu człowiekowi zrobiłem krzywdę, tym więc sposobem sprawę publiczną poświęciłem mej sprawie prywatnej. Gdybym był nie uwiódł żony Rotkirchowi, byłbym go zostawił w strasznych rękach Burczymuchy i zadość uczynił rozkazowi Rady Narodowej, która od dawna kapitana żandarmów skazała na śmierć i wyjęła z pod opieki prawa. A ja tymczasem tego człowieka uwolniłem, a uwolniłem dlatego, by nie sądził on sam i nikt inny, że zabiłem nie szpiega i prześladowcę powstania naszego, ale męża kobiety, którą ja kochałem.

Dlatego to szedłem aleją wysadzoną staremi topolami tuż pod wałem miejskim, zgnębiony nadzwyczajnie i milczący. Burczymucha naglił na mnie o pośpiech, ale ja nie myślałem go wcale słuchać, owszem rad byłbym bardzo, gdyby Rotkirch wysłał za nami pogoń, schwytał mię i powiesił. Takie życie, jakie ja pędziłem z ciągłą rozterką w duszy, sprzykrzyło mi się zupełnie. Ale pewny byłem, że kapitan żandarmów na tyle ma w sobie szlachetności, że ścigać nas w tej chwili nie będzie. Posuwałem się więc wolno po błotnistej alei, zamyślony głęboko i ciągle zadając sobie pytanie:

— Czy dobrze zrobiłem, puszczając wolno kapitana Rotkircha?

Wszak mogłem się nie mieszać do walki między nim a Burczymuchą; nie pod mojemi kolanami leżał Rotkirch. Dość było, bym milczał, a olbrzym Burczymucha byłby swoje zrobił. Ale czy takie postępowanie nie byłoby współudziałem w zbrodni? Tak, ale za to teraz Rotkirch będzie mnie ścigał bezlitośnie i z pewnością, gdy wpadnę w jego ręce, on mię z nich nie wypuści. Będzie więc prześladował moich współtowarzyszy i moją Józefinę. W tej chwili jest ona na jego łasce, boć przecie ani na chwilę wątpić on nie może, że to była schadzka.

I myśląc o tem, przypomniałem sobie, że cała ta schadzka była najwyraźniejszą zdradą. Rotkirch nigdzie nie wyjeżdżał, mnie ściągnięto do ogrodu, by mię wydać w ręce kapitana. To było oczywistem. Straszny ból począł szarpać mi serce na myśl, że Józefina niegodnie, haniebnie mię zdradziła. Szedłem w milczeniu tak zrozpaczony, tak zniechęcony do życia, że przez chwilę miałem ochotę wydobyć z kieszeni rewolwer i jednym strzałem zakończyć te męczarnie.

A Burczymucha stąpał ciężko koło mnie i opowiadał, jak pilnując furtki, spostrzegł nagle przesuwający się przez nią cień człowieka; jak pobiegł naprzeciw tego cienia, jak ten strzelił doń i chybił, jak wszczęła się walka na pięście. Słuchałem tego dość obojętnie, bo zresztą cóż mię to mogło obchodzić?

Tak doszliśmy na ulicę Złotą do mego mieszkania. — Tu Burczymucha nagle wstrzymał się i spytał:

— Aa! mopanku.. gdzie jest ta panna?... Jakże jej tam?

W rzeczy samej Adolfiny nie było. Nie przyszła wcale tej nocy do domu, bom się pytał o to zaniepokojony mocno, nie przyszła i nazajutzz rano. Było to dla mej mocno udręczonej duszy nowe zmartwienie. Ta dziewczyna okazała tyle poświęcenia dla mnie, że przywiązałem się do niej szczerze i żal mi jej było, bo nie wątpiłem, że dostała się tam w ogrodzie, w ręce żandarmskie (Ciąg dalszy nastąpi).

Zaklęte zagony.

(Opowiadanie z powstania 1863 r.).

— Tatusiu! co to ma znaczyć? Czy kto przeklął te zagony, którem od was dostał? Już je piąty rok uprawiam, nawożę, spulchniam, staram się o nie więcej niż o inne kawałki ziemi — tymczasem co roku wschodzą tylko na nich dzikie osty, krwawnik i trujące zielska — skarżył się przed ojcem Jan Niejadlik.

— Jeszcze nie czas, synu, by te zagony rodziły... — odpowiedział staruszek tajemniczo.

— Przecież ta ziemia należy do najurodzajniejszych w całej okolicy. Tuż za miedzą buja w górę dorodna pszenica, jak las plenie żyto, zielenią się krzaczaste badyle ziemniaków, udają się buraki, konicz po sam pas — a mój mórg, jak cmentarz martwy, bez życia, nie zagnieździ się na nim ptaszek, zdaleka go mija ze śpiewką skowronek...

— Dotknięta przekleństwem człowieka cierpi święta ziemia — westchnął ojciec Jana, a chcąc zmienić temat rozmowy, widocznie przykry dla siebie, zapytał syna: Czy ludzie wracają już z kościoła?

— Jeszcze nie! Ale wy mię, tatusiu, zbywacie! Wy coś więcej wiecie o tem polu. Niechże raz usłyszę prawdę! Wszak to moja ojcowizna, ja muszę wiedzieć, czemu ta ziemia taka nieczuła na moje sta-

rania, zabiegi, jakby się mściła na swym właścicielu za jaką zbrodnię, popełnioną na niej!

— Ja stary nie dożyję, lecz ty doczekasz albo twoje dzieci, że wam rodzić będzie... Bądź cierpliwy!

— Muszę być cierpliwym, ale mię ten ugór wciąż niepokoi. Chciałem go już sprzedać, tanio, lecz nikt kupić nie chce, bo sąsiedzi mówią, że grunt ten jest zaczarowany...

— Nie sprzedawaj, synu, swej ojcowizny! Klątwa nad nią wisi, to prawda, lecz widzę, że się już przybliża chwila jej spełnienia... Ja stoję nad grobem, czas, byś się mój spadkobierco dowiedział o strasznej tajemnicy, która z tym morgiem nieszczęsnym się wiąże. Posłuchaj, rzecz tak się miała:

Było to w roku 1863, a więc pięćdziesiąt lat temu. Królestwo Polskie, chcąc się uwolnić z pod ucisku Moskali, podniosło powstanie przeciwko ciemięzcom. Do Galicyi dochodziły wieści, że za Ojczyznę bije się szlachta, ginie tysiącami młódź pańska, że im pomagają chłopi... U nas było cicho, wojsko austryackie stało po wsiach na kwaterach, zwracając pilnie uwagę na dwory, chwytając powstańców, którzy ścigani przez Moskali, przeprawiali się do nas przez Wisłę i wśród lasów i pól szukali schronienia.

Lud wiejski, podjudzony przez wojsko i urzędników cesarskich, był wrogo usposobiony względem powstańców, to też zdradzał ich kryjówki, a nawet nieraz wprost ich mordował. Chłop, słuchający starosty z cyrkułu, nie zdawał sobie sprawy, nie czuł, jak straszną krzywdę wyrządza, jak ohydną zbrodnię popełnia względem Ojczyzny, zdradzając i mordując jej obrońców. Do liczby tych nieszczęśliwych i ja wówczas należałem!

Pewnego razu, pod koniec lipca, wczas rano, zauważyłam, że dwóch powstańców, przeprawiwszy się przez Wisłę na naszą stronę, ukryło się w mojej pszenicy, rosnącej na owym zaczarowanym morgu. Ze żoną weszliśmy czemprędzej na strych i z dymnika śledziliśmy zbiegów. Jeden z nich, starszy, olbrzymi mężczyzna, czyszcząc dubeltówkę, przekonywał o czemś drugiego, chłopca, może ośmnastoletniego. Młodszy nie chciał się widocznie zgodzić na propozycyę doradcy, bo przecząco machał rękami, wreszcie pocałował starszego w rękę, położył się w pszenicy i zasnął.

Dowiedziałem się później, że był to ojciec ze synem, Marek Chrzanowski i Juliusz. Zapewne wówczas Marek prosił syna, by, póki czas, wracał do domu. Lecz Juliusz uparł się, został przy ojcu i spać się położył, może daleką drogą wyczerpany. Spał siedm godzin — a Marek przez ten czas czyścił broń, nabijał, palił fajkę i co chwila podnosił głowę nad pszenicę i badał okolicę dokoła.

Przyznam ci się, Jaśku, że patrząc ze strychu na tych dwóch powstańców, spokojnie leżących na moich zagonach, straszną przechodziłem i toczyłem ze sobą walkę. Z jednej strony sumienie i twoja matka nakłaniała mię, bym ich zostawił w spokoju, ja oszołomiony namiętnością Judasza, zepsuty nakazami władzy, postanowiłem zdradzić ich kryjówkę za nędzną nagrodę austryackiego szelągą....

— To ojciec źle, wstrętnie zrobił! — przerwał z oburzeniem opowiadanie młody Niejadlik.

— Prawda, postąpiłem, jak niecny Judasz z Panem Jezusem. Lecz, synu, za ten czyn nie sądź mię zbyt surowo, bo wówczas chłop nie myślał i nie czuł, jak dziś cały naród czuje. Zmieniły się czasy. Dzisiaj za wolność Ojczyzny każdy z nas chętnie oddałby swe życie, jak je za nią poświęcali powstańcy z 1863 roku. Lecz wtedy? Chłop nie czuł się Polakiem, owszem, chełpił się, że jest cesarskiem dzieckiem«, Austryjakiem... Więc i zdrada powstańców nie była, nie uchodziła za zbrodnię, ba! zasługą była wobec rządu, który się ludem wiejskim opiekował... Więc i ja zostawiłem żonę na strychu, by pilnowała powstańców, a sam pobiegłem do kwatery kapitana i opowiedziałem o kryjówce zbiegów. Kapitan huzarów zmierzył mię pogardliwym wzrokiem, rzucił kilka pytań: Ilu? Jak dawno przyszli? Gdzie są? Czy zbrojni? Następnie wezwał do siebie oficera i rzekł:

— Mamy powstańców. Widocznie za Wisłą była potyczka z Moskalami. Rozprószona szlachecka hołota przekradła się do nas, zlustrujemy nasz rejon. Cała kompania w rynsztunku niech siada na konie — zaraz jedziemy! — Ty chłopie — zwrócił się do mnie — zaprowadzisz nas na miejsce, do tych dwóch!

W kilku minutach oddział był gotowy. Kapitan jechał z boku, a ja biegiem leciałem przed końmi, jak pies gończy, jak czart po ofiary... Gdyśmy wreszcie stanęli przed chałupą, zapytałem żony:

— Są jeszcze?

— Są, teraz obaj cosik jedzą — odpowiedziała, a głos jej, na widok żołnierzy, drżał przestrachem.

— Jazda! »sztil!« — zakomenderował kapitan.

Wjechali na osiodle. Ja szedłem miedzami, a żołnierze wprost przez pola kłusowali po zbożach, ziemniakach, jechali swobodnie jak po błoniu lub gościńcu. Co ich to obchodziło, że za nimi zostawały zniszczone zagony, stratowane plony. Szli, bo mieli »befel«. I ja nie zważałem na te szkody, nawet gdy wjechali w mój łan pszenicy, bo jakbym oszalał tą myślą, że powstańcy są już w naszych rękach...

— Już niedaleko! — szepnąłem dowódcy.

Kapitan dobył szabli, to samo uczynili szeregowcy i w skok puścili konie. Zaszumiała pszenica, zadudniła pod kopytami ziemia — minuta i kompania wpadła na powstańców.

Lecz pomimo, że napad był niespodziewany i po naszej stronie przewaga w ludziach, zastaliśmy Chrzanowskich gotowych do obrony: obaj trzymali dubeltówki przy oku, mierząc w żołnierzy. Znać było z ich spokoju, że nie pierwszy raz patrzą oko w oko śmierci, że nie dadzą się wziąść żywcem, że życie swoje drogo sprzedadzą.

— Złóżcie broń, bo was wysiec każę! — krzyknął kapitan.

— Polacy, Marek i Juliusz Chrzanowscy, za Ojczyznę w polu umierają, nie w kazamacie za kratą! — brzmiała odpowiedź dzielnego powstańca.

W tej chwili gruchnął strzał, jeden — drugi — trzeci. Dwóch huzarów zwaliło się z koni, inni gwałtownie natarli na Juliusza. Bronił się — jeszcze kolbą dubeltówki, roztrzaskał łeb najbliższemu koniowi i padł, zrąbany szablami. Marek, mając ostatni nabój w lufie, cofał się, mierząc w nadjeżdżającego kapitana z boku, na spłoszonym wystrzałami koniu. Widząc to, przypadłem z tyłu, chwyciłem powstańca za głowę i co sił miałem w ramionach, szarpnąłem nim ku sobie. Zdołał jeszcze strzelić, lecz nabój poszedł w górę, a Marek, zawikławszy się w słomie pszenicy, zachwiany mojem szarpnięciem, runął na ziemię. Wtedy chwyciłem go za ręce i klęknąłem na jego piersiach. Lecz wzrok pełen pogardy i gniewu, którym mię przeszył, odtrącił mię od niego, stanąłem przerażony mym czynem.

Tymczasem żołnierze z pałaszami otoczyli Marka. Jeden z nich skrępował mu ręce powrozem i przewrócił powstającego na ziemię. Smutny widok przedstawił się mojem oczom: niedaleko w pszenicy leżały dwa trupy huzarów i koń z roztrzaskaną gło-

wą. Juliusz dawał jeszcze znaki życia. Poranioną głowę zwrócił w stronę Marka i zamglonemi oczyma patrzył na skrępowanego ojca.

Kapitan, oglądnąwszy zmarłych żołnierzy, zwrócił się do kompanii: Dwóch ludzi niech jedzie do wsi i sprowadzi wóz na trupy. Kapral Ryś i szeregowiec Dziurdzia niech pilnują starego. Reszta na konie, może takich ptaszków więcej w zbożu wytropimy!

Odjechali żołnierze, ja zostałem przy trupach i więźniach.

— Ojcze! pozdrów matkę, gdy ją jeszcze zobaczysz — odezwał się konającym głosem młody powstaniec.

Na dźwięk tych słów Marek zerwał się z ziemi i mimo oporu kaprala, podbiegł do konającego.

— Julu! Julciu! żyj, żyj! — szeptał zrozpaczony ojciec, ująwszy w swoje dłonie skrwawioną głowę syna i patrząc mu z miłością w oczy. — Za Ojczyznę zginąłeś, wprawdzie nie od kuli Moskala, jak tego pragnąłeś, lecz i tak z rąk wrogów Polski... Mnie śmierć minęła, dzięki temu austryackiemu pachołkowi!

— Chłopie! — zwrócił się do mnie — czy ci żal było pszenicy, w której my się zatrzymali, żeś żołnierzy na nas sprowadził?

— Tak! boście mi ją tarasili — bąknąłem.

— Za zdradę ta ziemia się zemści na tobie, bo rodzić ci nie będzie do czasu, aż Polska powstanie... gasnącym szeptem przeklął mię dogorywający powstaniec.

Po tych słowach Juliusz skonał.

W tej chwili stała się rzecz straszna. Marek zerwał się z ziemi i na widok ciepłych jeszcze zwłok syna w napadzie szalonego bólu i rozpaczy, wykręcił ręce, szarpnął niemi w tył i wprzód, z taką siłą, że powróz zesunął mu się z rąk. Widząc to żołnierz, podbiega do Marka i chce go chwycić. Powstaniec rzuca się na niego z wściekłością, wyrywa mu karabin i całym zamachem uderza kolbą w głowę. Prysnął mózg po zagonach, kapral Ryś pada trupem!

Patrząc na szalejącego powstańca, myślałem, że i moja godzina wybiła. Uciekać nie mogłem, bo nogi drżały podemną, żem kroku zrobić nie był w stanie. Czując, że kolej moja się zbliża, upadłem na kolana i złożywszy ręce na piersiach, czekałem okrutnego ciosu...

— Chamie! daruję ci życie, boś jest Polakiem, a więc moim bratem — krzyknął do mnie Chrzanowski — ale za to żądam od ciebie pomocy!

To mówiąc, odwiązał od wierzby huzarskiego konia, wskoczył na siodło i wyciągając ręce do trupa syna, rzekł rozkazująco:

— Podaj mi to ciało — zawiozę je matce!

Skoczyłem co żywo, ująłem w ramiona martwe zwłoki młodzieńca i podałem na konia Markowi.

Złożył je troskliwie na grzbiecie rumaka i pełnym galopem puścił się nad Wisłę...

W dwie godziny później zawezwano mię do kancelaryi pana hauptmana.

— Wiesz, co się stało? — zagadnął do mnie kapitan.

— Chwyciliśmy dwóch powstańców! — odparłem śmiało, udając, że nie wiem o końcu nagonki.

Kapitan przyskoczył do mnie, jak żbik rozżarty, uderzył mię dwa razy w twarz, a gdym się na kanapę zatoczył, chwycił mię za kołnierz, kopnął parę razy w tył i wyrzucił za drzwi...

Taką otrzymałem nagrodę za haniebną zdradę powstańców! Stratowany mórg pszenicy i czynna zniewaga z ręki kapitana, przekleństwem umierającego szlachcica obciążone zagony — oto moja zapłata za zdradziecki donos. Ta ziemia święta usłuchała skargi Chrzanowskiego, bo odtąd przestała wydawać plony. Pomimo uprawy, zasiewu szczodrego, nic się na niej przez długie lata nie rodziło, nawet chwast się nie przyjął, ni trawka weszła, goły świecił ugór.

»Aż Polska powstanie!«

Może się przybliża chwila jej zmartwychwstania, bo przed kilku laty, na przeklętym morgu, pokazały się pierwsze roślinki, liche osty, nędzne pokrzywy — dziś się już zagony od trawy i chwastów zielenią, a da Bóg, gdy godzina wolności dla naszej Ojczyzny wybije, znowu się urodzi, bujnym łanem pokryje wypoczęte zagony dorodna pszeniczka.

— Boże Wszechmocny! spełnij nam jedno i drugie marzenie, jak najprędzej — szepnął z otuchą młodszy Niejadlik.

Ks. Paweł Wieczorek.

WYPĘDZANIE DYABŁA.



Każdy naród ma swe podania i odpowiedne zwyczaje, które przechowuje i które mu nadają odrębność. Rycina nasza przedstawia bardzo ciekawą uroczystość obchodzoną co roku przez ludność meksykańską w Ameryce. Zaczyna się ona wypchaniem lalki, przedstawiającej dyabła, bułkami, drobnymi pieniadzmi a równocześnie prochem strzelniczym. — Następnie wiesza się tego dyabła, wielkości człowieka, nad drzwiami chaty. Gromadzą się licznie ludzie, a jeden po drugim podskakuje, chcąc ściągnąć dyabła. Nie udaje się to jednak nikomu, bo chłopcy siedzący w górze, pod dachem, podciągają natychmiast za pomocą sznurków »dyabła« w górę. Po dłuższej zabawie, dyabeł podpalony wybucha, rozrzucając ku wielkiej uciesze zebranej ludności bułki i pieniądze.

Tłum rzuca się na nie, każdy stara się coś uchwycić, starsi pieniądze, dzieci bułki i zadowolenie jest ogólne. Według pojęć Meksykańczyków to »zniszczenie dyabła« odstrasza jego szatańską mość od mieszkań ludu na całe dwanaście miesięcy. — Po roku powtórzą znowu tę wesołą dla Meksykańczyków uroczystość. — Fotografia zdjęta na miejscu przedstawia chwilę, gdy dyabeł powieszony ściągnął uwagą licznych widzów.

Ziemi dla chłopa.

Chłop bez ziemi — to jakby ryba bez wody!... Musi parobkiem być u swoich lub obieżysasem u Prusaków, jeśli nie jęczy w ciężkiej pracy w fabrykach lub kopalniaah Ameryki.— a powróciwszy z uciułanym groszem do kraju albo przepłaca drobne działki gruntu u sąsiada, albo idzie na pastwę banków parcelacyjnych, gdzie czasem może stracić zapłacone za grunt pieniądze z powodu bankructwa, a gdy żąda sprawiedliwości, to mu każą składać tysiące na koszta procesu *).

Co na to począć? Czy pozostawić bezrolnych i bezdomnych na pastwę losu lub handlu ludźmi do odległych krajów w niewolę? Czy już niema dla nich ratunku w ojczyźnie?

Kto tak twierdzi, lub co gorsza, wymyśla po strachy, iż we wschodniej Galicyi Rusini przygotowują nową rzeź humańską, tego zapytać należy skąd ma prawo jak tchórzów traktować biednych chłopów, których się równocześnie namawia na składki pieniężne i przygotowuje do jakiegoś powstania, bez broni i środków wszelkich przeciw armatom i bagnetom! Jeśli chłop polski bohaterem — a pokazał to pod naczelnikiem Kościuszką — to niech się przedewszystkiem nie boi mary, t. j. biednego chłopa ruskiego i idzie z całym spokojem równouprawnionego obywatela na pracę w rodzinnym kraju i obejmuje ziemię zagrożoną parcelacyą ruską we wschodnich powiatach, gdzie tylu Polaków od wieków żyje i o narodowości swojej pamięta.

Jak rozdrobnienie gruntów i głód wypędza go z rodzinnej chaty, to niech korzysta z miliona morgów najlepszej ziemi tam jeszcze w polskiem będącej posiadaniu o jedną noc drogi zaledwie.

Parcelacya rozwija się tam przeważnie ruska i po kilkadziesiąt tysięcy morgów rocznie idzie na tę drogę (w ciągu ostatnich lat dziesięciu około 600 tysięcy, a w samym r. 1912 z górą 104 tysięcy!) Czy to nie szkoda ziemi od tysiąca lat w polskich utrzymanej rękach? Ale się boją już chłopi parcelacyi, bo się sparzyli na bankach, a brak pieniędzy, kredyt trudny i drogi utrudnia kupno.

Na to jest jednak sposób. Kto nie może zapłacić gruntu nawet w części — może go wziąć w dzierżawę na długie lata. Właśnie teraz wynaleziono taki sposób praktykowany już w innych krajach. Właściciele zakładają na swoich gruntach osady dzierżawne po 3 do 5 morgów na familię, tak aby się sama obrabiała i była niezależną od robocizny. Budynki postawi sobie osadnik sam za gotówkę uzupełnioną ewentualnie pożyczką w kasie Raiffeisena lub u właściciela, który mu może dać i kamień darmo i materyał na kredyt. Zabezpieczenie na wypadek śmierci właściciela lub sprzedaży majątku w intabulacyi prawa dzierżawy na lat 25, poczem kontrakt może być przedłużonym, lub budynki przeniesione na inne miejsce.

Ponieważ zaś miłem jest każdemu posiadanie na własność choćby kawałeczka gruntu — przeto właściciele godzą się od razu lub po paru latach na intabulacyę $^1/_8$ do $^1/_2$ morga gruntu ornego pod budynkami i ogrodem na własność osadnika, który w ten sposób może spokojnie zasadzić drzewa owocowe, które już dla dzieci pozostaną.

Tak to rodzina właściańska, bezrolna i bedomna a mająca grosz uciułany lub uzyskany ze sprzedania jakiego drobnego skrawka ziemi, może przyjść do rozporządzenia kilkoma morgami najlepszej ziemi, na której się może pobudować z całą możnością zarabiania u siebie i drugich, utrzymania inwentarza i składania oszczędności.

Obliczono n. p. w powiecie horodeńskim, gdzie można mieć 200 korcy buraków cukrowych z morga a także uprawiać tytoń, który daje po kilka cetnarów z morga w cenie 40—50 kor., że już jedna ćwiartka morga należycie uprawiona zapłaci czynsza dzierżawy 4—5 morgów, tak że reszta gruntu da już czysty dochód osadnika obok dostatniego utrzymania tak rodziny jak i żywego inwentarza, który przy obfitości buraków pastewnych, wytłoków buraczanych, ziemniaków a także koniczu i lucerny znakomite może dawać rezultaty.

Gdy się założą osady, których członkowie będą związani w spółki i kółka rolnicze i handlowe dla zakupna narzędzi i nawozów za poręką, rabatem i kredytem a także mleczarskie, zbożowe i dla handlu bydłem, tak iż będą niezawiśli od przekupni i wyzyskujących pośredników — można być pewnym, że zakwitnie kmieć polski w tych warunkach i obroni od biedy, która mu teraz doskwiera.

Bliższe wiadomości o tych dzierżawach daje Polskie Towarzystwo Emigracyjne (P.T.E) w Krakowie, ul. Radziwiłłowska 21, bez wszelkich opłat za pośrednictwo.

Dr Henryk Wielowieyski.

*) Niedawno dwom chłopom, pokrzywdzonym przez bank parcelacyjny kazano złożyć 60.000 koron na koszta wznowienia procesu, jak gdyby nie płacili i tak wysokich podatków na Ministerstwo sprawiedliwości i wszystkie c. k. sądy powiatowe i krajowe!

W dzień Bożego Ciała.

Blaski złote... Ruń zielona śmieje się do słońca a po sadach w biel drzewina stroi się kwitnąca. Błękit nieba jak bławaty, chmurki jak kwiat wiśni, świat naokół jak baśń cudna, co się we snach przyśni.

W starych lipach z brzękiem stroją pszczółki swe skrzypice — pod lipami ołtarz w bieli, rozgorzałe świece. Uśmiechnięta twarz Maryi spogląda z ram wnętrzy: czeka, czeka, rychło przyjdzie tu Syn Przenajświętszy.

Przed kościołem ludu fala, kwieciste kobierce. Dzwon się ozwał, tak radośnie zadrgało w nim serce! Załoskotał, ludzkie piersi dźwiękiem przestwór pieści, weseli się cała wioska w takt radosnej wieści: Oto idzie z swych przybytków, idzie Pan nad pany, ujrzy zbliska nasze chaty, ujrzy nasze łany! Jak rok długi my do Niego, do kościółka spieszym, niechże teraz On w gościnę, niech się nim nacieszym. Niech tak przyjdzie pod baldachem Przecudny, Przebiały, ujrzy wszystkie polne kwiaty, co wichry złamały. Ujrzy strzechy zdziurawione, mogiły cmentarne; biedzie naszej się użali, nie da zejść na marne. Wszak pracujem jako dzieci, nie najemne sługi, po ugorach, nieużytkach, w znoju wiedziem pługi...

Przyjdź-że Jezu! Pobłogosław skibom przeoranym i moc zdrową daj tym ziarnom świeżo w rolę wsianym, niechże bujnie się rozkrzewią, w kłos pełny rozwiną, niech w przyszłości sił Narodu będą podwaliną.

Korczak.

CZARNA ZARAZA.

6. Wściekłość psa.

Straszne zwierzę. Zalety psa. Wspomnienie żony. Niepokój psa. Przybycie Tobiasza. Dobranoc.

Nie widziałem nigdy tak strasznego zwierzęcia, jak ten Liverle. Był to olbrzymi pies, mogący mieć dwie i pół stopy wysokości. Łeb miał szeroki, płaski, skórę cienką, zasnutą siatką nerwów i muskułów, oko żywe, łapy długie, jednego mu tylko brakowało: węchu. Dać takiemu psu nos jamnika, a to i po zwierzynie!

Sperwer usiadł napowrót i, położywszy z dumą rękę na głowie Liverlego, wyliczał mi poważnie jego zalety.

Pies zdawał się go pojmować.

— Widzisz, Franku, ten pies udusi ci wilka od jednego razu. Pod względem od wagi i siły jest to poprostu doskonałość. Nie ma jeszcze pięciu lat. Nie potrzebuję ci mówić, że jest ułożony do polowania na dziki. Ilekroć spotykamy te bestye, drżę o niego, bo rzuca się zbyt śmiało, pędzi prosto jak strzała. To też ma już skutki tego. Połóż się Liverle! — zawołał — połóż się na grzbiecie.

Pies usłuchał.

— Widzisz, Franku, tę kresę białą bez sierści, od uda aż do piersi: to dzik go tak uczęstował. Biedne zwierzę! a jednak nie popuścił zdobyczy. Gdym go tak rozkrwawionego zobaczył, myślałem, że nie wiem co się ze mną stanie. Porwałem go na konia, zawinąłem w płaszcz i popędziłem do domu, jak szalony. Na szczęście kiszki nie były naruszone. Zeszyłem mu brzuch. Wył, jak wszyscy dyabli! cierpiał!... ale po trzech dniach zaczął się lizać: a kiedy się pies liże, już się o niego obawiać nie trzeba. Hę, Liverle, pamiętasz ty to? To też kochamy się obaj, jak dwaj rodzeni, nieprawdaż?



— Liverle! — zawołał Sperwer.

Byłem istotnie rozrzewniony przywiązaniem człowieka do tego psa i psa do tego człowieka; patrzyli na siebie wzajem, jakby się rozumieli. Liverle machał ogonem, Sperwer miał łzy w oczach.

Po chwili mówił dalej:

— Co to za siła! Widzisz, Franku, urwał się z powroza, aby do mnie przybiedz, odnalazł moje ślady. Tu, Liverle! paf!

I rzucił mu resztę udźca sarniego. Szczęki psa, chwytając go, wydały chrzęst okropny, a Sperwer, patrząc na mnie z dziwnym uśmiechem, rzekł:

— Hę, Franku, nie ruszyłbyś się z miejsca, gdyby cię tak za łydki przytrzymał.

— Zapewne tak, jak każdy inny.

Pies rozciągnął się przed kominkiem, trzymając mięso w przednich łapach, i zaczął je drzeć na kawały. Sperwer poglądał nań z zadowoleniem. Kość kruszyła się, jak słomka, w zębach Liverle.

— No — rzekł stary myśliwiec — cobyś powiedział, gdyby ci polecono odebrać mu tę kość?

— Wyznaję, że byłoby to bardzo niebezpieczne polecenie.

I obaj rozśmialiśmy się serdecznie. Sperwer puścił kilka kłębów dymu, ja zaś patrzyłem na psa, gdy nagłe przypomniała mi się nasza przerwana rozmowa.

— Słuchaj-no, Gedeonie — rzekłem — nie powiedziałeś mi wszystkiego. Jeżeli porzuciłeś góry dla zamku, to z powodu śmierci Gertrudy, twojej poczciwej żony, nieprawdaż?

Sperwer zmarszczył brwi, łza zaćmiła mu spojrzenie, wyprostował się i, otrząsając popiół z fajki, odpowiedział:

— A no tak! żona mi umarła... i to mnie wypędziło z lasów. Nie mogłem znosić widoku doliny Skalistej, a i teraz, ilekroć na polowaniu psy kierują się w tę stronę, rzucam wszystko do dyabła, uciekam i staram się myśleć o czem innem.

Sperwer sposępniał. Pochylił głowę, patrząc chmurnie na kamienne płyty posadzki; wyrzucałem sobie, żem w nim te smutne wspomnienia rozbudził. Wtem przyszła mi na myśl Czarna Zaraza, w śniegu siedząca, i dreszcz przejął mnie od stóp do głowy.

Dziwna rzecz! jedno słowo pogrążyło nas w melancholijnej, pełnej wspomnień zadumie.

Nie wiem, jak długo ona trwała, gdy nagle przerwało ją głuche warknięcie, podobne do odległego grzmotu.

Spojrzeliśmy na psa. Trzymał wciąż napół ogryzioną kość w przednich łapach, ale podniósł głowę, nadstawił uszy i z błyszczącem okiem słuchał... słuchał w głębokiej ciszy, a gniewny dreszcz przebiegał mu członki.

Nagle wstał i rzucił się na ścianę, zaszczekawszy w sposób tak przerażający, że aż sklepienie zadrżało, jakby piorun w nie uderzył. Liverle z pochyloną głową zdawał się wiercić wzrokiem granitową ścianę, z poza jego warg podniesionych połyskiwały dwa rzędy zębów białych, jak śnieg. Warczał ciągle, chwilami przykładał pysk do muru, sapiąc silnie, poczem podnosił się z gniewem i pazurami usiłował rozedrzeć granit.

Patrzyliśmy na niego, nie pojmując, coby to znaczyło.

Liverle szczeknął znowu tym razem z taką wściekłością, żeśmy aż podskoczyli na krzesłach.

— Liverle! — zawołał Sperwer, rzucając się ku niemu. — Co tobie, u dyabła? Czyś się wściekł?

Chwycił polano i zaczął opukiwać mur pełny i głęboki na całą grubość skały. Żadnej próżni w nim nie było, a mimo to pies nie przestawał warczeć.

— Śni ci się coś, mój Liverle — rzekł dojeżdżacz. — Leżeć! Nie rozdzieraj mi już uszu twojem szczekaniem.

W tej chwili stuk jakiś doleciał nas z zewnątrz. Drzwi się otwarły i stanął w nich Tobiasz Offenloch z latarnią w jednej ręce, z laską w drugiej i z dobrodusznym uśmiechem na swej okrągłej, jak księżyc w pełni, twarzy.

— Witam szanowne towarzystwo — rzekł. — Cóż się tu dzieje?

— To ten osieł Liverle — odparł Sperwer — narobił takiego hałasu. Wystawcie sobie, panie Tobiaszu, że się rzucał na ścianę, jak opętany. Ciekawy jestem, za jakie trzy grosze.

— Zapewne usłyszał stukanie mojej drewnianej nogi po schodach wieży — zauważył, śmiejąc się, marszałek.

Poczem, stawiając latarnię na stole, dodał:

— To was nauczy, panie Gedeonie, żebyście wasze psy przywiązywali. Już to psujecie wasze psy, psujecie — no! Te przeklęte bestye powypędzają nas z zamku. Właśnie przed chwilą spotkałem waszego Blica w galeryi; szelma skoczył mi do nogi, patrzcie: jeszcze ślady jego zębów zostały! Noga nowiuteńka! Bodaj go dyabli porwali!

— Przywiązywać psy! także koncept! — odparł Gedeon. — Psy na uwięzi stają się dzikimi. A zresztą, czy to Liverle nie był przywiązany? Biedne psisko ma jeszcze powróz na szyi.

— No! mnie tam wszystko jedno. Ja, gdy tylko wasze psy się zbliżają, podnoszę zaraz laskę i drewnianą nogę naprzód wystawiam. Ale tu chodzi o porządek: psy powinny być w psiarniach, koty na strychach, a ludzie w izbach.

Tobiasz usiadł, domawiając tych słów, i, oparłszy łokcie na stole, rzekł tonem poufnym z oczyma błyszczącemi niewymownem szczęściem:

— Trzeba wam wiedzieć, panowie, że jestem dziś słomianym wdowcem.

— Doprawdy?

— A tak! Marya-Anna czuwa z Gertrudą w przedpokoju naszego pana.

— Więc wam nie spieszno nigdzie?

— Nie, zupełnie nie!

— Jaka to szkoda, panie Tobiaszu, żeście tak późno przyszli — rzekł Sperwer — wszystkie butelki już próżne.

Twarz pana Tobiasza sposępniała tak bardzo, że aż mi się go żal zrobiło. Biedak! chciał tak skorzystać ze swego wdowieństwa. W tej chwili jednak, pomimo najlepszych chęci, nie mogłem się powstrzymać od przeraźliwego ziewnięcia.

— No! to będzie na drugi raz — rzekł Tobiasz Offenloch, wstając i biorąc latarnię. — Dobranoc, panowie.

— Poczekajcie no jeszcze trochę — zawołał Gedeon — widzę, że Frankowi chce się spać. — Pójdziemy razem.

— I owszem. Wstąpimy po drodze do Trumpfa; wszyscy tam są i Knapwurst opowiada im różne historye.

— Otóż to. Dobronoc, Franku!

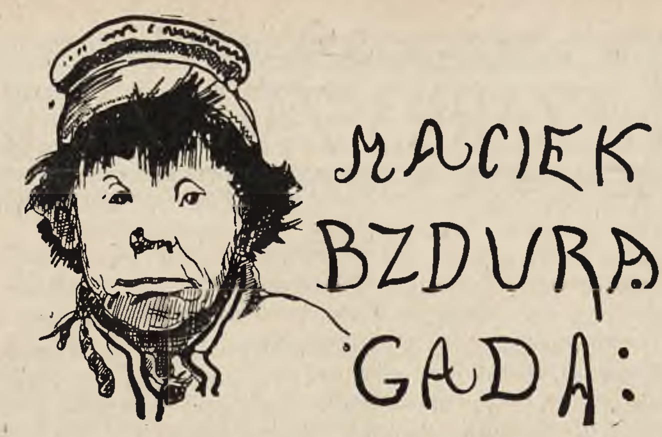
— Dobranoc! A pamiętaj mnie obudzić, gdyby hrabiemu było gorzej.

— No, no, bądź spokojny. Liverle!... pójdź tu!

Wyszli i w tejże chwili zegar wydzwonił jedenastą.

Padałem ze znużenia.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Nas chrzesnoojciec, Mateus Wręgacki, w niedziele po niesporach tak się na dobre rozgadali, ze cała ich młodość stanęła jem przed ocami, a co za tem idzie, i na języku.

Wsadziwsy niuch tabaki do nosa, tak jęli prawić:

— Inacéj ono było dawnemi casy, inacej! Chlebuś był tani, to się cłekowi i pofiglować chciało. Jak cłek miał ućciwość a przy tem dobry rozum, to i bez majątku mógł się na ludzi wykierować. Sprytny chłopak łactwo dostał się na dwór pański, a gdy był jaki taki, to i do klastoru do kuchnie, abo do kredensu nie trudno było wliźć.

Chrzesnoojciec, zazywsy znowu tabaki, jako ze i nos zyć potrzebuje, tak dali jęli prawić:

— Pamiętam ja, kiej byłem jesce młody, jak jeden chłopak z nasy wsi, ino la tego, ze był bystrego rozumu, dostał się do klastoru. — A było to tak:

Jeden bracisek, kwestarz, to jest taki, co po prośbie chodzi, spotkał w nasy wsi chłopaka i wdał się z nim w gadanie. A jako to pomiarkował, ze chłopak był niegłupi, tak mu prawi:

— Wis ty brzdącu, mógłbyś przyjść do nasego klastoru na słuzbę, to z casem i braciskiem mógłbyś być, a nawet i jegomościem w końcu byś móg ostać.

— Zgoda! — pada chłopak. — Umię ja juz do msy służyć, to niewiela i odprawić bym ją potrafił.

Niedługo po tej rozmowie zjawił się chłopak w klastorze. A ze to było w casie obiadu, więc musiał parę godzin czekać na kurytarzu.

Cekając tak, chłopak obzirał się po ścianach i gapił na porozwisane tam obrazy. Najbardziej podobały się mu trzy, które przedstawiały: św. Jana Ewangelistę z kielichem w ręku; św. Franciszka Serafickiego, kornie klęczącego i św. Piotra z klucami.

Chodził więc od obrazu do obrazu i gapił się na nie, ani nie widząc, kiedy wsed ks. Gwardyjon.

Ksiądz Gwardyjon, widząc chłopaka tak zajętego obrazami, wziął go delikatnie za ucho i pada:

— Cóz, smyku, podobają ci się obrazki?

— Acha! — odparł chłopak.

— No i cóz ty myślisz, ze na nich jest? — spytał Gwardyjon.

— A coby! — odparł chłopak. — Ten pirsy, co trzyma kielich, pewnikiem gada:

— Radby ja wiedzieć, kto mi wino wypił?

Ten drugi, co klęcy i bije się w piersi, pewnikiem pada:

— Dalibóg! ja nie wypiłem!

A ten trzeci, z klucami, godzi ich i mówi:

— Co się ta będziecie handrycyć! Macie kluce, idźcie do piwnicy i przynieście se innego wina.

Uśmichnął się Gwardyjon, poklepał chłopaka po plecach i przyjął go do słuzby w klastorze, gdzie chłopak zył długo i dobrze mu się powodziło.

Z TYGODNIA.

Nowe wybory do Sejmu. Patentem cesarskim, którym rozwiązano Sejm galicyjski, równocześnie zarządzono przedsięwzięcie nowych wyborów. Odbędą się one w okręgach wyborczych gmin wiejskich 30 czerwca 1913 roku, w okręgach wyborczych miast 3 lipca, w Izbach handlowych i przemysłowych 4 lipca, a w ciałach wyborczych większych posiadłości 8 lipca b. r.

Obrady ludowców. W obecności przeszło stu delegatów z całego kraju odbyły się dn. 17 b. m. w Rzeszowie obrady Rady naczelnej stronnictwa ludowego, pod przewodnictwem posła Stapińskiego. Po naradach nad prowadzeniem zbliżających się wyborów do Sejmu, uchwalono między innemi przeprowadzenie jak największej liczby posłów, będących zwolennikami reformy wyborczej, co do której już stosunek mandatów polskich i ruskich został ustalony. Oświadczono się też za jak największem ograniczeniem walki wyborczej, aby uniknąć zużycia sił na walkę narodowościową i między stronnictwami popierającemi reformę wyborczą.

Namiestnik Korytowski w Kole polskiem. Na posiedzeniu Koła polskiego dn. 15 b. m. prezes Dr Leo żegnając imieniem Koła w serdecznych słowach obecnego na posiedzeniu namiestnika Korytowskiego, dał wyraz przekonaniu, że Drowi Korytowskiemu, którego powołanie na to stanowisko kraj przyjął z wielkiem zadowoleniem, powiedzie się jak najrychlej przez szczęśliwe rozwiązanie sprawy reformy wyborczej osiągnąć uspokojenie kraju i normalne funkcyonowanie naszego życia autonomicznego. Wypowiadając prawdziwy żal w imieniu członków Koła, że ubył tak przez wszystkich ceniony i kochany kolega parlamentarny, (namiestnik Korytowski bowiem złożył mandat poselski), zapewnił w końcu prezes namiestnika, że w trudnem i ciężkiem zadaniu, jakie będzie miał do spełnienia, zawsze na najżyczliwsze poparcie Koła polskiego bezwarunkowo liczyć może. W odpowiedzi namiestnik Korytowski zaznaczył, że o poparcie Koła polskiego zawsze starać się będzie, bo wie, jaką doniosłość ma zachowanie ścisłego porozumienia między namiestnikiem a reprezentacyą kraju w Wiedniu.

Uwolnienie rezerwistów. Do wszystkich komend korpuśnych z korpusów I do XIV włącznie wydano polecenie, aby rezerwiści roczników 1909 i 1908 zostali rozpuszczeni. Z tego ostatniego rocznika znajdują się rezerwiści tylko w kawaleryi. Rozpuszczenie to obejmuje około 35.000 ludzi. Dalej zarządzono częściowe rozpuszczenie rezerwistów zapasowych z lat 1910 i 1911 w liczbie około 15.000 ludzi. Łączna więc ogólna liczba rezerwistów i rezerwistów zapasowych wynosi około 50.000 ludzi. — W okręgu korpusów w Bośni, Hercegowinie i Dalmacyi na razie rozpuszczenie nie będzie dokonane.

Zniesienie stanu wyjątkowego w Bośni. Stan wyjątkowy w Bośni, który trwał zaledwie kilkanaście dni, zniesiono. Gdy król czarnogórski zrzekł się Skutari, minęło niebezpieczeństwo niepokojów u granic kraju, zarządzenia te były więc już zbyteczne.

Wybory do Sejmu pruskiego. Rozpoczęły się prawybory do Sejmu pruskiego. Wobec tego, że katolickie niemieckie centrum, które dotychczas szło zgodnie z Polakami przy wyborach, uległo wpływom rządu i kompromisu z Polakami nie zawarło, spodziewać się należy utraty kilku polskich mandatów do Sejmu pruskiego. W każdym razie Polacy niewątpliwie wezmą liczny udział w wyborach dla policzenia się i przekonania, jakiemi siłami samodzielnie rozporządzają.

Car w Berlinie. W podróży cara rosyjskiego na uroczystości weselne do Berlina towarzyszyć będzie carowi, jak donoszą z Petersburga, najstarsza jego córka, 17 i pół letnia wielka księżniczka Olga. Czy przybędzie także carowa, nie jest jeszcze rozstrzygniętem. Austryacki następca tronu tymczasem, jak zapewniają stanowczo w wiedeńskich kołach politycznych, do Berlina nie przybędzie. Coś w tem być musi, bo jeszcze nie tak dawno temu wyrażały pisma niemieckie radość z powodu bliskiego spotkania się cara z austryackim następcą tronu, co stanowić miało dowód, że przeciwieństwa rosyjsko-austryackie ostatecznie zostały zażegnane, obecnie zaś okazuje się, że z Austryi nikt nie pojedzie do Berlina, w przeciwnym razie możeby car nie przybył.

Wyspa Ada Kaleh. Wyspa ta, nosząca nazwę turecką (ada — wyspa, kaleh — twierdza), około półtora kilometra długa i 500 metrów szeroka, z 500 mieszkańcami, położona na Dunaju naprzeciw miasta Orsowy, na Węgrzech, należała do Turcyi od dawnych czasów. Właściwie jednak Turcya tam zwierzchności nie wykonywała; Austro-Węgry utrzymywały w niej załogę. złożoną z oficera i 20 żołnierzy. Ponieważ obecnie po wojnie bałkańskiej Serbia mogłaby tę wyspę zająć i odnowić stare fortyfikacye tureckie naprzeciw węgierskiego miasta Orsowy, co byłoby niebezpiecznem — w ostatnich dniach dokonano przyłączenia wysepki do Węgier. Uczyniło to kilku urzędników węgierskich w towarzystwie oficera żandarmeryi i żandarmów.

Wojsko międzynarodowe w Skutari. Wojsko międzynarodowe pod komendą admirała angielskiego Burneya w środę d. 14 b. m. o godz. 2 po południu wmaszerowało do Skutari. Przy wejściu do miasta powitał admirała jenerał czarnogórski Beczir krótką przemową, na którą admirał odpowiedział w kilku słowach. Admirał udał się następnie do miasta. Wojsko międzynarodowe obsadziło natychmiast budynki rządowe, w których stanęło garnizonem i objęło służbę. Przy wejściu do miasta oddział czarnogórski oddał admirałowi honory wojskowe. Wojsko czarnogórskie opuściło miasto. Mieszkańcy Skutari przyjęli wojsko międzynarodowe z żywą radością.

Zatarg serbsko-bułgarski. Między obu temi państwami wybuchł poważny zatarg o nowe granice w zdobytych krajach. — Z Belgradu donoszą, że rząd serbski zawiadomił rząd bułgarski już stanowczo, że nie uważa się za związanego warunkami, ustanowionymi przed zawarciem pokoju i że zatrzymać chce całą tę część Macedonii, którą serbskie wojska obsadziły. W nocie tej rząd serbski wskazuje na to, że Bułgarya w innych kierunkach olbrzymie poczyniła zdobycze. W końcu oświadcza Serbia, że przygotowaną jest na wszystko i nie ustąpi ze swojego stanowiska. Politycy serbscy zapewniają, że Serbia przygotowaną jest lada chwila na najazd woj wojska bułgarskiego ze Starej Serbii. Cała serbska granica została gorączkowo wzmocnioną i ściągnięto też tam liczne wojska. W zdobytych okręgach formują się nowe dywizye. Serbia bowiem gotową jest tylko do finansowych ustępstw wobec Bułgaryi, jednak o ustępstwach zdobytych krajów nie ma dziś mowy. Mimo naprężonych obecnie stosunków między temi sprzymierzonemi państwami, wątpliwem jest, czy przyjdzie do wojny serbsko bułgarskiej. Byłaby ona ogromnem osłabieniem związku bałkańskiego i prowadzeniem jej w ogóle wystawiłyby sobie te państwa świadectwo niedojrzałości politycznej. Rosya, której głównie zależy na sile i spoistości związku bałkańskiego, dokłada usilnych starań, aby Serbia i Bułgarya spór ten załatwiły pokojowo.

Namiestnicy Galicyi.



Dr Witold Korytowski.



Dr Michał Bobrzyński.

Mianowanie Dra Korytowskiego namiestnikiem Galicyi jest już faktem dokonanym. Dotychczasowy namiestnik Dr Bobrzyński ustąpił. Był to jeden z naj wybitniejszych polskich mężów stanu. Bystry rozum, znajomość potrzeb krajowych, gotowość obywatelska, niezwykła pracowitość — oto zalety tego męża, którego nazwisko chlubnie zapisze historya naszego kraju. Objął rządy przed pięciu laty w najtrudniejszych warunkach: wśród przełomu, spowodowanego zaprowadzeniem powszechnego i równego prawa głosowania, i wśród walki narodowościowej, nacechowanej krwią męczeńską poprzedniego namiestnika ś. p. Andrzeja Potockiego, który zginął z ręki zbrodniarza. Pierwszem zadaniem namiestnika Bobrzyńskiego było kraj uchronić od wstrząśnień i walk narodowościowych. I to mu się udało. Doprowadził do ugody Polaków z Rusinami w sprawie reformy wyborczej. Nie było mu danem przeprowadzić do końca tych ustaw, które miały być podstawą ugody dwóch narodów, dlatego, ponieważ w drodze swojej spotkał się z walką tak zaciętą i tak nie przebierającą w środkach, jakiej nie wiele przytoczyć można przykładów z publicznego naszego życia lat ostatnich. Niemniej jeśli kiedyś reforma wyborcza przyjdzie do skutku, w znacznej mierze dzieło to jego będzie zasługą, owocem długich starań, prac i mozolnych rokowań.

Nowy namiestnik, były minister skarbu Dr Korytowski, jest mężem, którego niezwykłe zdolności okazały się na wielu wysokich stanowiskach. Wkrótce minie 40 lat, jak Dr Korytowski pozostaje w służbie rządowej. Przez lat 15 był wiceprezydentem dyrekcyi skarbu we Lwowie. Urząd ten pełnił z energią i świadomością celu. Obecnie, z sympatyą przez wszystkich witany, wraca do Galicyi na stanowisko naczelnika kraju. Zadanie do spełnienia będzie miał bardzo trudne. Niemniej kraj żywi zaufanie do jego zdolności, rozumu i energii, spodziewając się, że rządy jego pomyślnymi rezultatami zapiszą się w dziejach usiłowań przywrócenia pokoju narodowościowego w Galicyi. — Namiestnik Dr Korytowski, urodzony w r. 1850 w Grochowiskach w Wielkopolsce, studya uniwersyteckie odbył w Berlinie, Zurychu, Monachium i Wiedniu. Uzyskawszy obywatelstwo austryackie, wstąpił do dolno-austryackiej prokuratoryi skarbu. W r. 1888 został radcą ministeryalnym; w r. 1891 zajął stanowisko wiceprezydenta galicyjskiej dyrekcyi skarbu. W czerwcu 1900 r. powołano Dra Korytowskiego na ministra skarbu. Ustąpił z tego stanowiska w trzy lata wraz z upadkiem gabinetu Bienertha. W działalności politycznej jest posłem parlamentarnym z okręgu Wieliczka-Bochnia-Podgórze, posłem sejmowym zaś z Nowego Sącza.

KRONIKA.

Ś. p. Jan Wojtyga dyrektor szkoły w Krakowie, w Półwsiu Zwierzynieckiem, były poseł do Rady Państwa, zmarł w ubiegłą sobotę w 58 r. życia.

Obchód Konstytucyi 3 Maja. Dnia 4 maja urządzony został w Radłowie obchód Konstytucyi 3 Maja. Po nabożeństwie, odprawionem przez dziekana ks. Kmietowicza, bratanka zasłużonego księdza Kmietowicza z Chochołowa, nastąpiła przemowa do do ludu przed pomnikiem Kościuszki. Wieczorem grupa miejscowej młodzieży odegrała z nader wielkiem powodzeniem sztukę »Zmartwychwstanie«, za które się jej pełne uznanie należy. Sztukę tę odegrano z tem samem powodzeniem powtórnie dn. 11 b. m.

Sprawozdanie poselskie. W przeszłym tygodniu odbył się w Niedamicach, pod Żabnem, wiec, na którym poseł do parlamentu, Dr Matakiewicz, składał sprawozdanie poselskie. W dłuższem przemówieniu przedstawił Dr Matakiewicz swój stosunek do Koła polskiego, sprawę geometrów, ulgi w wykonywaniu ustawy o pryszczycy, zniesienie podatku od domów jednoizbowych, zniesienie opłaty od bydła dorżniętego z konieczności, zniesienie loteryi liczbowej, udzielanie zapomóg z powodu klęsk elementarnych, wykonywanie obecnej ustawy wojskowej i inne. Po złożeniu sprawozdania, za które mu zebrani włościanie z Niedamic i Rudna gorąco dziękowali, wysłuchał życzeń i zażaleń, przedkładanych mu w sprawie budowy szkoły w Niedamicach, poprawy lichego stanu dróg i udzielania zapomóg dla rodzin rezerwistów, powołanych do czynnej służby wojskowej, któremi to sprawami obiecał się nasz poseł wedle sił zająć. Po udzieleniu jednogłośnego wotum zaufania, żegnany serdecznie przez obecnych na wiecu, opuścił nas Dr Matakiewicz, pozostawiając po sobie jak najlepszą pamięć i wrażenie.

(K. T.) **Pod znakiem postępu.** Otrzymujemy następujący list: W roku 1912 gmina Miechowice wielkie, powiat Dąbrowa, powzięła zamiar starać się w Związku Spółek Mleczarskich we Lwowie o założenie takiej mleczarni w naszej gminie. Wydział powiatowy poparł ten dobry cel i w krótkim czasie patronat tego Związku w dn. 5 maja 1912 wysłał swego referenta, p. Bodurę, dla rozszerzania tej myśli. Po jego odjeździe myśl założenia tej mleczarni się przyjęła i choć sprawa nie szła zrazu szybko, to jednak w styczniu otrzymaliśmy wszystkie przyrządy w maszynach. W dn. 1 maja b. r. zaprosiliśmy ks. proboszcza Józefa Lassaka, aby budynek wraz z przyrządami poświęcił. Po dokonaniu poświęcenia ksiądz proboszcz wygłosił odpowiednią mowę, dalej przemawiali: p. Nowak jako przewodniczący tej spółki, p. instruktor ze Lwowa, który podniósł korzyści mleczarni, wreszcie p. St. Szpak, zastępca posła p. Bojki z Gręboszowa, były członek Rady powiatowej z Dąbrowy w wyczerpującem przemówieniu tłómaczył, jakie korzyści mają te gminy, w których są sądy polubowne. W naszym powiecie są trzy takie sądy. Da Bóg, że wkrótce i u nas sąd taki powstanie i ludzie oszczędzą wiele pieniędzy, wydawanych na stemple, podania, koszta adwokackie i t. d. Na uroczystości poświęcenia mleczarni było wielu gości, zwłaszcza pp. nauczycieli, a wszyscy serdecznie życzyli naszej gminie postępu, poprawy doli i rozwoju oświaty.

Kurs gospodarski. Rolników powiatów pilznenskiego i ropczyckiego zaprasza gorąco Koło Tow. Szkoły Ludowej w Dębicy na trzech-dniowy bezpłatny kurs gospodarski, który się odbędzie w Dębicy, w sali »Sokoła« w dn. 29, 30 i 31 maja b. r. Kurs przychodzi do skutku staraniem Koła T. S. L.

w Dębicy, Towarzystw rolniczych i zarządów powiatowych Kółek rolniczych obu powiatów. Referentów na kurs dostarcza komitet Tow. Rolniczego w Krakowie. Program wykładów jest następujący: Czwartek d. 29 maja b. r.: o godz. 9 rano nabożeństwo; o godz. wpół do 10 rano przemówienie reprezentacyjne; o godz. 10 rano wykład »o rolniczej organizacyi handlu bydłem i trzodą chlewną;« o godz. 2 popoł. »o wychowie cieląt i żywieniu krów«. — Piątek dn. 30 maja b. r.: o godz. 8 rano »o warzywnictwie;« o godz. 10 rano »wychów prosiąt i żywienie świń;« o godz. 2 popoł. »walka z chwastami« i »o wpływie obróbki okopowej na zbiory«. — Sobota d. 31 maja b. r.: o godz. 8 rano »o sadownictwie;« o godz. 10 rano »o gospodarstwie nabiałowem« i »o spółkach mleczarskich;« o godz. 3 popoł. »pomoc w nagłych wypadkach u żywego inwentarza:» o godz. 6 popoł. zakończenie. — Zarząd Koła Tow. Szkoły Ludowej przygotowuje dla uczestników kursu większą ilość popularnych tanich książeczek o rolnictwie. Dla uczestników kursu, z dalszych stron przybyłych, urządzi zarząd Koła T. S. L. wspólne kwatery, po które jednakowoż muszą się włościanie zawczasu do zarządu Koła T. S. L w Dębicy zgłaszać (korespondentką). Rolnicy, weźcie jak najliczniejszy udział w kursie.

Zamach na parocha ruskiego. O groźnych stosunkach, panujących we wsi Sądki, w pobliżu Tłustego, w powiecie zaleszczyckim, donoszą do gazet lwowskich: Wieś ta, czysto ruska, jest znaną z niespokojnego zachowania się mieszkańców i ze złych stosunków bezpieczeństwa publicznego. Kradzieże drzewa z lasów prywatnych są na porządku dziennym, równie jak kradzieże z pola. Mieszkańcy mają broń, jak: rewolwery i strzelby, proch i kulki kupują w Tłustem i trudnią się kłusownictwem. Niejednokrotnie napadano też na straż lasową.



Obecnie szajka jakaś wydała na parocha miejscowego, księdza Sawę Łomnickiego, wyrok śmierci. Przed kilku tygodniami napadnięto w nocy na probostwo i usiłowano zamordować parocha strzałami z rewolweru. Najstarsza córka ks. Łomnickiego, 12-letnia dziewczynka, przerażona napadem, wkrótce zmarła. Wyrok śmierci przysłali bandyci wiejscy powtórnie; przed niewielu dniami, gdy księdzowa spuszczała rolety w oknie, dano do niej strzał z rewolweru, który przedziurawił jej suknię. — Kula utkwiła w kołysce. Sprawcy nie wykryci; paroch otrzymał wartę, składającą się z sześciu chłopów.

Obchód Konstytucyi 3 Maja w Dublanach. W niedzielę dnia 11 b. m. odbył się w Dublanach uroczysty obchód ku uczczeniu rocznicy Konstytucyi 3 Maja, za staraniem wszystkich zjednoczonych miejscowych Towarzystw. O godzinie 10 odbyła się uroczysta suma w miejscowej kaplicy, podczas której przygrywała pięknie ludowa orkiestra i śpiewał chór włościański. Po sumie wygłosił okolicznościowe kazanie ks. Dziędzielewicz ze Lwowa. Przedstawiając ważność chwili, wskazał wyraźnie cel prawowitego Polaka; wyznaczył zasady, jakich Polacy-katolicy trzymać się winniśmy. W prześlicznych słowach skreślił doniosłość uroczystości, a przemawiał tak pięknie, że wprost porywał serca słuchaczy. Po sumie ruszył pochód na miejsce, gdzie posadzono przed kilku laty dąb grunwaldzki. Pochód poprzedzała orkiestra włościańska, za którą postępowały stowarzyszenia: Sokół miejscowy, straż ochotnicza pożarna, złożona ze słuchaczy Akademii i uczniów niższej szkoły rolniczej, dalej dwa plutony drużyny strzeleckiej, drużyny Bartoszowe, włościanie i t. d. Pod dębem grunwaldzkim przemówił do licznie zebranych włościan p. Dąbski, redaktor ze Lwowa, który w treściwych słowach wskazał zebranym włościanom, jak się zabrać do pracy nad własnem odrodzeniem, aby praca ta była owocną dla Ojczyzny. Po południu odbyła się zabawa ludowa w parku koło internatu. Serce się podnosi na widok takiej wioski, gdzie włościanie tak pięknie zorganizowani; mają bowiem Kółko rolnicze, orkiestrę, czytelnię ludową, chór włościański i t. d. Nie brakło podczas zabawy dzieci, młodzieży i starszych, a jakkolwiek bawiono się ochoczo, to przecież zabawa miała charakter poważny, uroczysty, nie było tam alkoholu, a gdy zmierzch zaczął zapadać, na dane hasło, że uroczystość skończona, wszystko się rozeszło spokojnie do domów. O jakże po innych wioskach inaczej, inaczej. Gdyby wszystkie wsi polskie tak postępowały, zaiste śmiało moglibyśmy powiedzieć: »Jeszcze nie zginęła«.

(F. B.) **Śnieg w maju.** Z Pistynia (powiat Kosów) donoszą, że od 6 do 8 maja padał deszcz ze śniegiem przy trzech-stopniowym mrozie. Drzewa owocowe i kukurudza bardzo przez to ucierpiały.

(K. Z.) **Pożar.** W Worwolińcach, koło Zaleszczyk, dn. 5 b. m. wybuchł pożar w chacie i zabudowaniach jednego z gospodarzy. W stajni spaliła się krowa. Szkoda ogólna wynosi 4000 kor.

Związek śląskich katolików. W ubiegłym miesiącu odbyło się walne zgromadzenie »Związku śląskich katolików». Na rok następny wybrano prezesem »Związku« ks. Dudka, zastępcą Dra A. Dyboskiego, sekretarzem i kasyerem ks. Londzina, nadto do wydziału: Dra Wolfa z Frysztatu, księdza Janszę z Piotrowic, p. K. Jungę z Żukowa i p. Palarczyka z Goleszowa. Na zgromadzeniu tem uchwalono na wniosek ks. Tomanka rezolucyę tej treści, że reprezentanci katolickiej ludności polskiej na Śląsku, wyrażają swe zdziwienie i oburzenie większości Sejmu śląskiego, która w ustawie szkolnej, przyjętej w ostatnich dniach wbrew głosom słowiańskich posłów, w brutalny sposób podeptała prawa polskich gmin w sprawach szkolnictwa co do składu Rad szkolnych miejscowych, c. k. Rad szkolnych okręgowych i wzywają całą ludność na Śląsku, by podjęła stanowcze kroki przeciw uchwale Sejmu, by ta nie stała się ustawą i by rząd nie przedłożył jej do sankcyi cesarskiej. Nadto uchwalono dwie rezolucye: jedną z protestem do c. k. Rady szkolnej krajowej przeciw wezwaniu kierownictw polskich szkół, aby wysyłały do Wrocławia wycieczki dzieci naszych; drugą z wezwaniem do polskiej ludności Księstwa Cieszyńskiego, by stanowczo oparła się wysłaniu dzieci naszych na wystawę wrocławską.

Rozległość gmin śląskich. Największą gminą na Śląsku jest Wisła, ma 11.002·5 hektara rozległości. Do roku 1891 była Wisła większą niż sam Wiedeń, dopiero wskutek przyłączenia okolicznych gmin do Wiednia w latach 1891 i 1905 podskoczył obszar Wiednia na 27·308 ha. Wiedeń jest więc tyl-

ko półtrzecia razy rozleglejszy niż Wisła. Drugą gminą co do wielkości jest Morawka, ma 7.832·8723 ha. Trzecią Brenna z 7.817·4800 ha, czwartą Stare Hamry 6.648 8742 ha, piątą Istebna 4.828·5449 ha, szóstą Ustroń 4.349·4462 ha, potem następuje Krasna koło Frydku 4.412.2511 hr. Mosty ad Jabłonków 3.395·3621 ha, Czechowice 2.280·3823 ha, potem Łomna Dolna, Nydek, Lgota, Jaworzynka, Jaworze, Wendrynia, Niemiecka Lutynia i t. d. Najmniejszemi gminami na Śląsku Cieszyńskim są Mnisztwo 184 ha, Kojkowice 187 ha, dalej Łączka, Wieszczęta, Datynie, Bładnice, Kozakowice Dolne, Kaniowice i t. d.

Samolotem ponad Alpy. Lotnik szwajcarski, Bieder, przeleciał ponad Alpami na wysokości 3200 metrów mimo dotkliwego zimna i wylądował w Sitten w kantonie Wallis. Lot ten jest najwspanialszym z dotychczasowych.

Robotnik polski lepszy od niemieckiego. Zarząd dóbr księcia Trachenberga, na Śląsku, wystosował do inspektorów i zarządów poszczególnych folwarków cyrkularz w sprawie najmu robotników sezonowych do pracy na roli. W okólniku znajdują się następujące zdania: »W przyszłości należy najmować tylko robotników katolickich. Wolno przyjmować do pracy polskie rodziny, bo to ludzie bardzo użyteczni i zwykle także czysto się trzymający i porządni«. — Co powiedzą na to hakatyści i publicyści niemieccy, którzy robotnika polskiego starają się przedstawić w oczach świata w świetle zupełnie innem, niż zarząd rozległych posiadłości niemieckich?

Okropny wypadek zdarzył się w majątku Brzostowni, w Poznańskiem. Jedna z robotnic, która miała nadzór nad trzodą chlewną, usnęła w chlewie z palącą się latarką w ręku. Latarka wypadłszy jej z ręki wywróciła się, a nafta oblała suknie śpiącej i spowodowała wielki pożar. Gdy się obudziła, pół chlewa stało już w płomieniach.



Na krzyk zbudzonej ze snu zbiegli się ludzie, by ratować, co się jeszcze dało. Robotnik Walenty Kaźmierczak oduszony został dymem do tego stopnia, że utraciwszy przytomność znalazł śmierć wskutek uduszenia. Dwóch innych robotników wydobyło wprawdzie Kaźmierczaka z palącego się budynku, lecz wszelkie zabiegi około przywrócenia mu życia okazały się daremnemi. Robotnica, która spowodowała pożar, uszła z lżejszemi obrażeniami.

Zamach w Monachium. Jakiś człowiek, prawdopodobnie chory na umyśle, postrzelił w Monachium, stolicy Bawaryi, śmiertelnie wojskowego członka ambasady pruskiej w Monachium, majora Lewińskiego i zabił na miejscu wachmistrza Ballingera, który bronił napadniętego. Lewiński umarł w szpitalu. Mordercę poturbowanego przez publiczność, aresztowano. Tożsamości jego na razie stwierdzić nie zdołano.

Zatopiony las. Niedawno temu w Westfalii, w okolicy miasteczka Hofsten, zapadło się piętnaście morgów lasu na piętnaście metrów głęboko pod powierzchnię ziemi. W miejscu, gdzie przedtem był las, utworzyło się natychmiast jezioro. Gazety niemieckie opisują ten wypadek, jak następuje: W północnej części Westfalii, tuż nad granicą Hanoweru, znajduje się opustoszała okolica, którą nazywają tam Świętem morzem. Podanie głosi, że stał tam niegdyś przed wiekami klasztor, który kiedyś pewnej pięknej nocy zapadł się pod ziemię. Bujne zielska zarosły to miejsce i z rzadka tylko widać wśród nich brzozy i jodły. Teraz historya ma do zanotowania drugi podobny wypadek w tej samej okolicy. Tego samego dnia, którego wydarzyła się katastrofa, mieszkańcy okolicznych wiosek słyszeli niby grzmoty podziemne i dało się przytem uczuć niby lekkie trzęsienie ziemi. Nagle przestrzeń nieco zalesiona, obszaru dziesięciu morgów, zaczęła się powoli obniżać. A odbywało się to tak spokojnie, że rosnące na niej jodły i brzozy zanurzały się wraz z nią powoli i bynajmniej nie upadły. Ze wszystkich ścian tej nowo tworzącej się doliny obficie wypływać zaczęła woda. Z początku spływała powoli, wkrótce jednak zebrało się jej tyle, że z drzew, które się zapadły, zaledwie wierzchołki widać było nad powierzchnią wody. Tymczasem w okolicach tego miejsca zauważono inny bardzo ciekawy objaw. Mianowicie na polach i łąkach, wysoko bardzo położonych, ukazały się nagle silnie bijące źródła. W jednej chwili utworzyły one bystro rwący potok, który zalał okolicę na dużej przestrzeni. Woda dotarła aż do położonej o kilka kilometrów miejscowości kąpielowej Bad Steinbeck. Lecz również prędko, jak nastąpiła powódź, tak samo zniknęła. Widocznie szybko wyczerpały się źródła. W nowo utworzonem jeziorze źródła nie zaprzestały swej pracy i poziom wody podnosi się z godziny na godzinę. Na miejsce wypadku przybyło wielu uczonych, którzy starają się zbadać przyczynę tak nagłej katastrofy. Według ich mniemania, wody podziemne wyżłobiły w ciągu długich lat przejście w znajdujących się tam pokładach kamiennych. Uczeni są zdania, że w najbliższej przyszłości nastąpią dalsze katastrofy. — Wielu mieszkańców okolicznych wiosek opuściło w trwodze swoje domy.

Z Jasnej Góry. Na odpust w dni Zielonych Świąt przybyło na Jasną Górę około 50 tysięcy pątników z różnych okolic Królestwa. Przyjechały też kompanie z Galicyi. Dn. 12 b. m. Jasna Góra przedstawiała jedno morze głów ludu wiejskiego. Ks. biskup kujawsko-kaliski, Stanisław Żdzitowiecki, święcił trzy nowe dzwony dla Jasnej Góry. Na rusztowaniu, przybranem kosztownymi kilimami i dywanami, ukazał się biskup w otoczeniu ks. kanonika Kossowskiego, swego kapelana, kleryków, oraz OO. Paulinów. Na chrzcie dzwony otrzymały imiona: największy »Marya«, mniejszy »Paweł«, najmniejszy »Augustyn«.

Kara Macocha. Z Petersburga donoszą, że Damazemu Macochowi i Helenie Macochowej na zasadzie amnestyi carskiej, zmniejszono o jedną trzecią czas ciężkich robót, na które są skazani. Macochowi zniżono karę z 15 lat na 10, a Macochowej z 6 na 4.

W przystępie szału. We wsi Posejnele, w Królestwie Polskiem, zamieszkiwał pisarz leśnictwa Bolesław Lonk. Był to człowiek cichy i spokojny, od pewnego jednak czasu ujawniać począł stan nienormalny. Wpadał w głęboki smutek, miewał różne przywidzenia. Niedawno do Lonka przyjechał teść jego, Michał Siziński i dwaj bracia jego żony: Michał i Piotr. Po wieczerzy Lonk naraz wybuchnął,

dobył rewolweru i chciał strzelić do swego szwagra. Ten zdołał umknąć i schować się w spiżarce. Tymczasem Lonk zaczął strzelać do śpiących. Zabił żonę, 3-letnią córeczkę. 75-letniego teścia i jego 25-letnią córkę. Dokonawszy tu krwawego dzieła, Lonk wpadł do pokoju sąsiedniego, tam strzelił do 9-letniego synka swego i do szwagra Michała Sizińskiego. Ten został ciężko raniony w brzuch, chłopiec zaś, raniony w nogę, począł uciekać. Szaleniec dał za nim dwa strzały, położył go trupem, poczem strzelił do siebie, raniąc się śmiertelnie wystrzałem w usta. Wezwany z miasta lekarz stwierdził zgon sześciu osób.

Niezwykła stampila pocztowa. Marki jubileuszowe rosyjskie z portretem Mikołaja II i innych carów wywołały, jak wiadomo, opozycyę wiernopoddańczych urzędników pocztowych, którzy uznali, że przybijanie stampili na wizerunku cesarskim jest obrazą majestatu. Marki zamierzano wycofać. Ponieważ jednak są ich znaczne zapasy, przeto urzędnicy wpadli na pomysł zużytkowania ich, bez naruszania uczuć czci dla malowanych głów carskich. Pomysł zasadza się na wprowadzeniu nowej stampili do tych marek. Odtąd stempel pocztowy nie będzie zaczerniał wizerunku cesarskiego na marce, lecz po przybiciu go ukaże się nad głową cesarza korona, z boków zaś wstążeczka z napisem: »Bože caria chrani!« i z datą 1613—1619.

Sanitaryuszka czarnogórska w niewoli rosyjskiej. Między 141 mieszkańcami aresztu będzińskiego znajduje się aresztowana za przejście granicy bez paszportu ochotniczka sanitaryuszka, pochodząca z wewnętrznych gubernij cesarstwa rosyjskiego. Powraca ona obecnie z Czarnogóry, gdzie pielęgnowała rannych na placu boju. Za odwagę i poświęcenie król Mikołaj ozdobił jej pierś złotym medalem, potwierdzając ten znak zaszczytny własnoręcznym podpisem.

Stosunki zdrowotne w Rosyi. Według danych zebranych przez Dra Nikolskiego w gazecie petersburskiej »Dzień«, stan zdrowotny państwa w ciągu ostatnich 3 lat nietylko nie polepszył się, lecz pogorszył. Śmiertelność stanowi w Rosyi 30 na 1000 ludności, podczas gdy w Danii 13, w Szwecyi i Anglii 14, we Francyi 18. Od chorób zakaźnych zmarło w ostatnim roku 508.262 osoby; najwięcej zmarło na ospę (54.500), odrę (82.000), szkarlatynę (134.000). dyfteryt (90.000). Największa jest śmiertelność dzieci; wynosi ona 290 na 1000 urodzin w Moskwie, 261 na 1000 urodzin w Petersburgu, 175 na 1000 urodzin w Warszawie, podczas gdy w Amsterdamie tylko 77 na 1000 urodzin.

Straty Bułgarów w wojnie. Według urzędowego zestawienia, podczas wojny z Turcyą zginęło 330 oficerów i 29.711 żołnierzy. Rany odniosło 950 oficerów i 52.550 żołnierzy. Zaginęło 3193 ludzi.

Zdobycze Czarnogóry. Wedle dotychczasowych obliczeń, Czarnogóra wskutek zdobycia nowych obszarów kraju powiększy swoją ludność o 30 tysięcy ludzi.

Wyzdrowienie Ojca św. Z powodu wyzdrowienia Papieża, odbyły się w drugi dzień Zielonych Świąt w Watykanie wielkie uroczystości. Papież odprawił w prywatnej kaplicy cichą Mszę św. W kościele św. Piotra odśpiewano uroczyste Te Deum przy niesłychanym natłoku wiernych. Wieczorem kościoły i domy prywatne były rzęsiście oświetlone.

Jakiej narodowości byli Papieże? Według badań uczonych włoskich, na stolicy św. Piotra siedziało 264 Papieży, choć inni liczbę ich podają na 254. Większość Papieży, bo 209, była pochodzenia włoskiego, a mianowicie: 19 pochodziło z Toskany, 14 z Neapolu, 9 z Aemilii, 9 z Wenecyi, 7 z Lombardyi, 6 z Liguryi, 2 z Abruzzów, 5 z Piemontu i t. p. Z Francyi pochodziło 15 Papieży, 14 z Grecyi, 8 z Syryi, 5 z Niemiec, 3 z Afryki, 3 z Hiszpanii, 2 z Dalmacyi, na Portugalię, Anglię i Holandyę wypada po jednym.

Nowy materyał wybuchowy. Pewien profesor w Paryżu wygłosił wykład, w którym zawiadomił, że udało mu się otrzymać nowy materyał wybuchowy, sporządzony przez napojenie sadzy gazem w stanie płynnym. Próby przedsięwzięte z tym nowym materyałem wybuchowym w kamieniołomie wykazały, że siła jego wybuchu przewyższa 10 razy siłę wybuchu dynamitu.

Straszne skutki żartu. Żart na pozór niewinny, spowodował w pewnem miasteczku francuskiem krwawy wypadak. Żona jednego z tamtejszych urzędników, człowieka najzacniejszego, ale ogromnie zazdrosnego, postanowiła urządzić mu żart, któryby chociaż w części oduczył go tej szpetnej wady. — W tym celu napisała do siebie czuły list od nieistniejącego wcale zresztą kochanka i rozmyślnie porzuciła go na stole, rzekomo przez nieuwagę.



Mąż dał się złapać. Po przybyciu do domu dostrzegł list i przeczytał go. W tej chwili jakby piorun w niego uderzył. Mimo wszystko jednak zapanował nad sobą i nie dał poznać, co się dzieje w jego duszy. Przez kilka dni mocował się z sobą, a gdy żona, ciesząc się z udanego żartu, wcale nie myślała o jego zakończeniu — ostatecznie uległ. Kiedy żona była zajętą w kuchni, podszedł do niej z tyłu i celnym strzałem ugodził ją w głowę. Następnie sam dał do siebie dwa strzały Małżonkowie bardzo ciężko ranni, leżą dzisiaj w szpitalu. Lekarze mają nadzieję utrzymać ich przy życiu.

Światło elektryczne i kurczęta. W Akademii rolniczej w Kopenhadze, stolicy Danii, zrobiono interesujące doświadczenie, z którego wynika, że światło elektryczne ma wielki wpływ na rozwój kurcząt. Oto poddano działaniu światła elektrycznego stodwadzieścia kucząt, zamkniętych w kojcu, na który przez osiem godzin na dobę padało światło żarówek elektrycznych o sile 60 świec. Obok trzymano w kojcu drugich 120 kurcząt, których działaniu światła elektrycznego nie poddano. Po trzech tygodniach przekonano się, że kurczętą, rosnące pod wpływem światła żarówek elektrycznych, miały o jedną piątą więcej na wadze, niż inne kurczęta.

Wychodźtwo żydów. Według obliczeń gazet rosyjskich, w ciągu ostatnich lat dwunastu wyemigrowało do Stanów Zjednoczonych samych żydów około 1,130.000, według obliczeń zaś amerykańskiego generalnego komisaryatu dla wychodźców, w ciągu roku 1912 przybyło z państwa rosyjskiego do Stanów Zjednoczonych 65.000 żydów.

Starcie z górą lodową. Pewien parowiec angielski zderzył się z górą lodową na Oceanie Atlan-

tyckim. Na szczęście, parowiec zdołał utrzymać się na powierzchni morza i dotrzeć do Ameryki. Zajście to jednak zaalarmowało ponownie Towarzystwa żeglugi oceanowej w Ameryce, wykazuje bowiem, że pomimo wszelkich przedsiębranych środków zaradczych i zorganizowanej na oceanie służby wywiadowczej, powtórzenie się katastrofy takiej, jak »Titanica«, jest jeszcze możliwe.

Zakaz małżeństwa dla 70-letnich. Władze, rządzące w amerykańskim stanie Connecticut, wychodząc z zasady, że z nastaniem 70 roku zamiera w człowieku faktyczne życie, a rozpoczyna się jedynie wegetacya, wydały obecnie przepis zakazujący zarówno mężczyznom jak i kobietom, którzy przekroczyii 70 rok życia, wstępowania w związki małżeńskie. W ten sposób chcą władze ochronić osoby w podeszłym wieku od częstych, nierozważnych i nieobliczonych z góry kroków, których później zawsze prawie żałują, stawiając je niejako pod urzędową kuratelą. Wedle przepisu ustawy osoba, licząca ponad 70 lat życia, a mająca zamiar wstąpić w związki małżeńskie, pozbawioną zostanie urzędowo prawa zawiadywania swym majątkiem, o ileby zaś i to nie poskutkowało, przysługuje władzy prawo chwycenia się nawet energiczniejszych środków celem przeszkodzenia małżeństwu. Osobne kary przewidziane są na duchownych, którzy nie zadadzą sobie trudu dokładnego zbadania wieku nowożeńców.

Wiec włóczęgów. Stany Zjednoczone Ameryki północnej są krajem niewyczerpanych pomysłów. I tak, kilku przedstawicieli sławetnego cechu włóczęgów zwołało niedawno temu wiec kolegów zawodowych do Nowego Orleanu. Uczestnicy tego wiecu przybyli na miejsce, z zasady nie płacąc za bilety kolejowe, lecz jadąc »na gapę«, lub przemycając się w pociągach towarowych. W pierwszym dniu wiecu uchwalono założyć zjednoczenie włóczęgów pod nazwą: Związek wędrownych robotników. Następnie omówiono prawodawstwo pojedyńczych Stanów w odniesieniu do włóczęgów i wyrażono się z największem uznaniem o Stanie Oklahama, nazywając ją rajem dla włóczęgów, podczas gdy Stan Georgia jest dla nich prawdziwem piekłem. Niestety, już w drugim dniu obrad wiecu wkroczyła policya i rozpędziła jego uczestników na cztery wiatry, dokonawszy przedtem licznych aresztowań.

6000 trupów na pokładzie okrętu. W San Francisko, mieście północnej Ameryki, utworzyli zamieszkujący tam Chińczycy Towarzystwo, które wzięło sobie za zadanie, przewiezienie wszystkich zmarłych w Kalifornii rodaków do ziemi ojczystej, by według ich przekonań religijnych umożliwić im zbawienie, którego na obcej ziemi doznać nie mogli. Za zezwoleniem władz rządowych odkopano dotychczas 6000 ciał i kościotrupów, i umieszczono je na okręcie w 6000 trumnach, w celu przewiezienia ich do Chin. Odkopywania trupów trwają w dalszym ciągu.

Odzyskała rozum po 19 latach. Przed 19 laty, w Ameryce, niejaka pani Carrie Beele-Jordan trzymając na kolanach swoją córeczkę, nagle straciła zmysły i nie mogła poznać własnego dziecka ni też nikogo z otaczających. Nagle niedawno temu odzyskała ona rozum i pamięć, a jakby dopiero zbudzona z ciężkiego snu, poczęła się pytać o swoją córkę, sądząc, że śpi ona w kolebce. Biedna kobieta nie wiedziała, że przez tyle lat umysł jej był zamroczony. Przyprowadzono jej córkę do łóżka, ale już dorosłą i zamężną, a gdy matce wytłómaczono, że przez tyle lat nie miała pamięci, nie chciała wierzyć. Dopiero gdy spojrzała w lustro i ujrzała swoją twarz, mocno postarzałą, a włosy siwiejące, wówczas uwierzyła. Lekarze są zdumieni tem niezwykłem zjawiskiem, gdyż niegdyś orzekli, że pani Jordan nigdy władz umysłowych nie odzyska. Uszczęśliwiona matka zamieszka przy swojej córce, która również jest matką dwojga dzieci.

Walka łasicy z wężem boa. W dziennikach niemieckich znajdujemy nadzwyczaj ciekawy i pouczający opis walki między łasicą, a olbrzymim wężem dusicielem. Oto co pisze o tej walce naoczny świadek jej, oficer angielskiej marynarki. Po długiej, męczącej podróży po Oceanie indyjskim, zawinął okręt do Adenu, angielskiej stacyi węglowej w Arabii. Szarobrunatne skały wybrzeża, ciemnobłękitna toń morza, ożywiona rozlicznymi rekinami, czarnobrązowa ludność okolicy, a nad tem wszystkiem pogodny uśmiech błękitu nieba, takie było tło, pośród którego miałem poraz pierwszy w życiu oglądać zbliska walkę między łasicą a boa dusicielem. Na pokładzie statku zjawił się indyjski kapłan i zaproponował kapitanowi, by ofiarował mu kilka funtów szterlingów (kilkadziesiąt koron), a ujrzymy widowisko niezwykłe. Kapitan, stary wilk morski, propozycyę przyjął. Niedługo potem ukazał się Indyanin z dwoma koszykami, w których mieściły się zwierzęta, mające wkrótce potem stoczyć między sobą śmiertelny bój. Rozciągnięto sukno. Naokół zgromadzili się wszyscy podróżni tłocząc się i patrząc sobie przez ramię na denerwujące widowisko. Indyanin otworzył kosz, z którego wysunęły się grube sploty boa dusiciela. Potworne zwierzę niechętnie i leniwie spoglądało na otoczenie, które trwożnie cofnęło się o kika kroków wstecz, jakby w obawie, aby nie zetknąć się z wężem. — W sekundę później otwarł się drugi kosz i lekko a zwinnie wyskoczyła zeń łasica. Na jej widok spokojny do tej pory wąż podniósł się groźnie, wpijając wzrok w niepokonanego nigdy nieprzyjaciela. Zwierzęta zrozumiały, iż walka, jaka się między niemi rozegra, będzie walką zaciętą, walką na śmierć i życie.



Chwila oczekiwania, zwierzęta rzucają się na siebie. Boa dusiciel ocknął się z ospałości, błyskawicznie natarł na łasicę i owinął się o nią z taką siłą, iż zdawało się, że zmiażdży ją na masę. Przypuszczenie to było mylne. Maleńkie zwierzątko żyło nieuszkodzone, wiedząc o swych zaletach w walce, a więc niepozornej postaci, elastyczności żeber i ostrych, kończystych ząbkach. Ze splotów węża, okręconych na kształt pierścienia, wysunęła się mała główka łasicy; w sekundę później ujrzeli obecni nieznaczną rankę na ciele węża. Rr-rr-rr, rr-rr-rr dały się słyszeć charakterystyczne, jakby cięcia piłą, poruszenia szczęk łasicy i — splot węża rozluźnił się. Dzielna łasica uwolniła się, spoglądajac z zadowoleniem na konwulsyjne drgania dusiciela. Widowisko było skończone. Uradowany przebiegiem walki Indyanin, wsadził łasicę do kosza i znikł tak szybko,

jak szybko zjawił się na pokładzie po przybyciu okrętu do portu.

Nowa zabawa Amerykanek. Wśród bogatych Amerykanek rozpowszechniła się w ostatnich czasach niezwykła rozrywka. Oto panie te ćwiczą się obecnie gorliwie, po herbatkach poobiednich, w wdrapywaniu się na słupy, drabiny sznurowe, liny i t. p. Mania ta powstała wskutek dowodzeń pewnego lekarza amerykańskiego, że ćwiczenia tego rodzaju przyczyniają się do zachowania piękności. Utworzył się nawet już w Nowym Jorku związek zwolenniczek nowej zabawy.

Zęby świadectwem zbrodniczości. Amerykanin, Dr Ryszard Grady, lekarz wojskowy i profesor Akademii marynarki, wynalazł sposób stwierdzenia tożsamości przestępców, a mianowicie — przez pomiary zębów. Już od lat kilku prowadzi je wśród kadetów Akademii i dzięki temu zdołano rozpoznawać zwłoki poległych na wojnie. Choćby nawet zbrodniarze, dla niepoznaki wyrywali sobie zęby, nie zdołają zmienić ustroju szczęki, twierdzi Dr Grady.

Polacy w Brazylii. Czytamy w »Gazecie Polskiej z Kurytyby list z kolonii S. Marcos, który oświetla stosunki wśród wychodźców polskich. S. Marcos, pisze korespondent gazety, była to jedna z najstarszych kolonij polskich w Rio Grande do Sul Dziś, niestety, już niema prawa zwać się polską; dziś prawie całe jest w rękach włoskich. Przed 15 laty zamieszkiwało 450 rodzin polskich, teraz mieszka tylko 70, Włochów zaś przeszło 500 rodzin. Powodem, że Polacy tak wędrują, jest brak wytrwałości. Ziemię w S. Marcos nasi sprzedają za bezcen i idą dalej do Rio de Peixe, by bory rąbać. »Rąbać bory« — oto hasło naszych braci tutejszych osad! — Wszyscy idą do Rio de Peixe, choć tam ani dróg, ani przemysłu, ni handlu niema. Nie cieszy ich S. Marcos, która ma bardzo piękne i zdrowe położenie. Mówią, że tu można się zbogacić Dzięki jednak, że nie wszyscy uciekli z S. Marcos — ci mają się dobrze. Poznałem kilku zamożnych gospodarzy polskich. Jan Modłkowski ma 4 i pół kolonii, 20 sztuk bydła rogatego, 8 koni do jazdy. W tym roku namłócił 100 worków pszenicy i sprzedał ją za drogie pieniądze. Pan Sobieraj ma trzy kolonie, gospodarzy jak najlepiej. Bardzo dobrze mają się koloniści pp.: Jakób Stodolny, J. Kosiński, M. Petryk. W miasteczku jest jeszcze 5 rodzin polskich, pp.: Fr. Sławiński, sędzia i organista, Jan Studziński, krawiec, Józef Zielak, ślusarz, Filip Sawicki, kowal, Andrzej Jakubowski, szewc. Wszyscy mają się dobrze.

Prace misyjne w środkowej Afryce. Dzieło nawracania murzynów w Afryce, rozwija się coraz bardziej. Gdzie przed trzydziestu zaledwie laty panowały niewolnictwo i ludożerstwo, gdzie nie słyszano o Zbawicielu świata, dziś nauka Chrystusowa ma już 157.000 wyznawców, a 198.000 przygotowuje się do przyjęcia chrztu świętego. Misyjną tą pracą zajmuje się 474 »Ojców białych«, 200 zakonnic i blisko 2000 katechetów. Założyli oni 1509 szkół, w których naukę pobiera 56.000 dzieci murzyńskich. W Afryce środkowej istnieje 120 stacyj misyjnych i 8 wikaryatów apostolskich pod kierunkiem »Ojców białych:« w Saharze, w Sudanie francuskim, w Nyassy, w Wyższem Kongo, w Tanganajce, w Onniyanyembe, w południowej i północnej Nyanza.

Grzeczność republikańska w Chinach. Republikańskie Chiny przeprowadzają nadzwyczaj ważne reformy Naprzód rozkazano obcinać warkocze, nosić cylindry i t. p. Teraz ministerstwo sprawiedliwości ustanowiło »biuro ceremonii«, które ogłosiło przepisy grzeczności. Grzeczność jest w Chinach pięcioraka: Wielka, mała, zwykła, męska i żeńska. Wielka grzeczność polega na zdjęciu kapelusza i trzykrotnem ukłonie ciałem, mała na jednym ukłonie. Grzeczność zwykła okazuje się przez podanie ręki. Czem jednak różni się grzeczność męska od żeńskiej, trudno wytłómaczyć

Złoto w Australii. Jak wiadomo, w tej części świata znajdują się obfite kopalnie złota. Produkcya złota w Australii maleje jednak z roku na rok. Podczas gdy w roku 1910 wywieziono z Australii jeszcze 3,106.379 uncyi złota (uncya czystego złota kosztuje około 70 koron), w roku 1911 wywieziono już tylko 2 911 800, a w roku 1912 nawet tylko 2,634.084 uncyi złota

Najdłuższa powieść w świecie. Japoński powieściopisarz Kiungte Bakin napisał najdłuższą powieść w świecie, czem zdobył sobie sławę w kraju. Pracę rozpoczął autor jeszcze z wiosną 1853 roku, a skończył ją późną jesienią 1892 r., czyli pisał powieść 40 lat! Powieść składa się z 106 tomów po 1000 stronic każdy. Ponieważ na każdej stronicy jest 40 wierszy, więc cała powieść zawiera około 3 miliony i 180.000 wierszy. Przypuśćmy, że każdy wiersz składa się z 10 słów, to cierpliwy czytelnik, jeśli się taki znajdzie, będzie musiał przeczytać 32 miliony słów. Każdy egzemplarz tej powieści waży 00 kilogramów!

Odpowiedzi Redakcyi.

Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

PP.: Henryk Kempny w R: Za przesłane życzenia serdeczne podziękowanie. Prosimy oświadczyć wszystkim naszym przyjaciołom w R. nasze pozdrowienia. — Jan Malinowski w L.: Zagadek i szarad mamy wprawdzie dużo, ale jeżeli dobre, to niech Pan przyśle a powoli będziemy drukowali. — Józef Jarmuła w D.: Za łaskawą pamięć serdeczne dzięki. Wysyłkę zarządziliśmy. — Kazimierz Tokarski w M.: Wiersz »Na Boże Ciało« dobry — może będzie w Kalendarzu, bo w numerze brakło miejsca. »Kasi Mvrdalonce« — umieścimy w numerze. — Wojciech Michno w Ł: Niech Pan nadeszle, gdy będą dobre, umieścimy. — Jan Stypka w Z.: Książki jeszcze mamy, gdy Pan nadeśle 2 kor., wyślemy odwrotną pocztą. — Korczak w R.: Powtórną przesyłkę otrzymaliśmy — dziękujemy. Dobre. — Wł. Ogińska w P.: Zagadki dobre. — Józef Krzyżanowski w T.: Tygodnik »Postęp« już od kilku lat nie wychodzi.

Potwierdzenia prenumeraty.

PP.: Włodzimierz Huczko z W. 4 K., Józef Zwiercan z K. 3 K., Jan Sochacki z S. 2·30 K., Jan Cygan z S. 3 K., Paweł Niżnik z F. 2 K.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 20 maja

Pszenica	Kor.	10·60	do	11·25	za 50 k
Żyto	„	9·30	„	9·65	„
Jęczmień	„	8.40	„	8·90	„
Owies	„	9·25	„	9·90	„
Otręby pszenne	„	6·20	„	6·40	„
Otręby żytnie	„	6·20		6 50	„

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 20 maja:

Buhaje	Kor.	118	do	240	za sztukę
Woły	„	—	„	—	„
Krowy	„	—	„	—	„
Jałówki	„	120	„	230	„
Cielęta	„	27	„	68	„
Owce i kozy	„	—		—	„
Świnie (żywa waga)		175		190	za 50 kg.

Za zmianę adresu należy się 40 halerzy

Zagadki do nagrody.

1. ŁAMIGŁÓWKA.

(Ułożyła Karolina G.).

```
        +
      . + .
    . . + . .
  . . . + . . .
. . . . + . . . .
. . . . + . . . .
  . . . + . . .
    . . + . .
      . + .
        +
      . + .
    . . + . .
  . . . + . . .
. . . . + . . . .
. . . . + . . . .
  . . . + . . .
    . . + . .
      . + .
        +
```

Kropki i krzyżyki zastąpić w ten sposób literami, aby' powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy da nam imię i nazwisko poety polskiego.

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Rzeka wpadająca do Adryatyku 3. Gospodarz. 4. Roślina ogrodowa. 5. Gladyator. 6. Nazwisko poety polskiego. 7. Lud należący do szczepu germańskiego. 8. Kraj w Azyi. 9. Imię żeńskie. 10. Spółgłoska. 11. Przeciąg czasu. 12. Ptak. 13. Zbiór wody. 14. Rzeczy przez wschodnie narody używane. 15. Miasto w Galicyi. 16. Książę kompozytor. 17. Rzeka w Europie. 18. Rzecz używana przez sportowców. 19. Samogłoska.

2. SZARADA.

(Ułożył Jan Malinowski).

O! Lecha pokolenie
Niż w waśni bratniej trwać
Winniście się jednoczyć
Pod hasłem »Polska brać!«

Przyznacie, że gdzie cała
Nie pytaj tam o ład,
Gdzie zaś jest druga-trzecia,
Tam każdy sobie rad.

Przy całej ciągłe spory,
I ludzie jacyś źli,
Nikt — rzecze — pierwsze trzecie,
Dobrego słowa ci.

Więc miejcie to w pamięci,
Że siła wielka tam,
Gdzie cała nie istnieje
Wśród ciemnych życia ram.

Niech druga-trzecia tedy
Zakwitnie nam wśród nas,
Jednoczcie się więc, bracia,
Polacy wszystkich klas.

3. SZARADA.

(Ułożył Franciszek Zydroń).

Pierwszy z pierwszą drugiej
Kto robi — ma zwykle długi,
Sam drugi u wozu bywa
Cały pod niebiosy pływa.

4. SZARADA.

(Ułożyła Wł. Ogińska).

Trzecie z drugim połacz razem,
A da ci rzekę tym razem,
Zaś pierwsze samo przeczytane,
Miejsce z historyi znane.
Całość imię to niewieście,
Znane na wsi, znane w mieście.

* * *

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy do wylosowania, jak zwykle, dwie oprawne książki.

* * *

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 24 maja 1913 r. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

* * *

Znaczenie zagadek z numeru 18 »Roli«: 1. Arytmogryf: **Tygodnik „Rola" — Kopernicki S.** 2. Szarada: **Karabin.** 3. Szarada: **Nieborak.** 4. Szarada: **Zakochany.** 5. Przestawianka: **Człowiek do śmierci rozumu się uczy.** (Może także być: **Krowa, co wiele ryczy, mało mleka daje**). 6. Szarada: **Norymberga.**

* * *

W oznaczonym czasie dobre rocwiązania nadesłali PP.: Jerzy Fierich z K., Józefa Hirszberg z K., Jan Malinowski z L., Kazimierz Stachnik z N., Jadwiga Otrębowa z D., Stanisław Musiał z N., Franciszek Teper z M. K., Adela Bezokówna z K. M., Z. Oraczewska z Ż., Piotr Bochnia z T., Wł. Ogińska z P.,

Pierwszą nagrodę p. t. ***Lubonie*** wylosował **p. Kazimierz Stachnik** z N., zaś drugą p. t. ***Jutro*** **p. Jadwiga Otrębowa** z D.

Wydawca: Stanisław Kopernicki. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
Drukarnia „Czasu" w Krakowie pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.